

**Cienka książka duchowa o walce
czyli całkowitej klęsce.**

WPROWADZENIE

W imię Ojca i Syna i Ducha Św. Amen

Moi Drodzy, chciałbym podzielić się z Wami tym, co dzięki Łasce Bożej dane mi było i jest przeżywać i poznawać w swoim życiu. Mam zamiar ująć to w słowa. Zdaję sobie sprawę z trudności tego zadania, bo nie jestem wprawiony w pisanie, ale spróbuję zaprosić Was w podróż po zakamarkach serca. Będzie to książka o walce wewnętrznej, walce z tym, co odbiera wolność, co zniewala, odbiera nadzieję na lepszą przyszłość. Spróbuję w jak najprostszy i zrozumiały sposób zachęcić Was do życia duchowego.

Nazwałem to cienką książką dlatego, że nie należy się tu spodziewać pięknie sformułowanych zdań i wyrafinowanej formy i to jest moje wytłumaczenie i danie sobie pozwolenia, aby nie próbować być kimś innym niż jestem. Ale „cienkie” też może oznaczać, że będzie konkretne, nie rozwleczone i do rzeczy.

Najważniejszym powodem, że w ogóle się za to zabieram jest potrzeba mojego serca i pragnienie dzielenia się doświadczeniem Boga w moim życiu. A więc mam okazję do zrobienia czegoś, co mnie przekracza, co będzie wyzwaniem i przygodą. Na pewno czeka mnie trud i radość, może smak spełnienia, a może rozczarowania. Wiem jedno, że w jednym i drugim będzie mój Pan i Zbawiciel. Niech będzie uwielbiony Mój Pan za wszystko i niech będzie pozdrowiona każdym słowem Maryja moja Matka i Królowa.

Jeżeli walka, to o co? O co się bić, o co się starać, do czego dążyć? Gdzie jest przeciwnik, gdzie jest wróg? Jaką strategię obrać, po co to wszystko? Walka to narażenie się na rany, kalectwo lub śmierć. Kto jest po mojej stronie, kto jest przeciwnikiem? Jeszcze do tego walka duchowa, czyli walka o to czego nie widać. I znów nie wiadomo kto jest po mojej stronie. Nic nie widać, nic nie słychać. A my wchodzimy w świat nieznaną, świat pragnień, tęsknot, uczuć, przeżyć, lęku. „Na początku był chaos” i to teraz czuję i nie mogę tego wytłumaczyć i o tym powiedzieć, bo nie wiem na razie co czuję i czy to ma sens. Chciałbym to jakoś ogarnąć i ten gąszcz pytań i niewiadomych rozjaśnić. Jednak to nie wiem jest kluczem do tego, aby doświadczyć, aby poczuć, przeżyć. Żyjemy w świecie, który przez obrazy, wyliczenia, inaczej pokazuje wielkość rzeczy, ilość pieniędzy w miliardach głośność w decybelach. Reklamy ukazują przydatność leków i szczęście na wyciągnięcie ręki, szczęście widzialne, któremu towarzyszy jakiś towar, miłe wakacje, piękne miejsca. Nasze rozbuchane zmysły chcą widzieć, dotykać, liczyć, porównywać, chcemy się tym zaspokajać, nasycać. Jednak dziś siedzę i piszę i chce się tym podzielić, że „nie nasyci” się oka patrzeniem, ani ucha słuchaniem, że zmysły nigdy nie zostają zaspokojone tylko rozbudzane i potrzebują więcej i więcej bodźców. Każdy cel do którego dążyłem i go osiągałem nie dawał mi nasycenia, szczęścia, tylko powodował kolejną frustrację, smutek, porażkę. Nie każdy cel musi być osiągnięty, nie każda sprawa załatwiona, nie każdy dług spłacony, nie każda choroba wyleczona, nie każdy głód zaspokojony, nie każda rana zagojona. Pewnie do większości myśli jeszcze wrócę bardziej szczegółowo.

I SKAZANY NA ŚMIERĆ

To zaczynam od początku. Zanim zostałem poczęty w łonie swojej mamy, Pan Bóg już wiedział jak potoczy się moje całe życie. W jego zamyśle jest moje szczęście, błogosławieństwo, a przede wszystkim miłość. Niestety wie, że wiele razy pójdę „swoją drogą”. Wiele razy pobłądzę, czy to z własnego świadomego wyboru, czy to nieświadomie, albo po prostu z bezsilności, że nie będę potrafił iść drogą właściwą. Wiele razy pobłądzę, źle wybiorę z ludzkiej ułomności, swojej lub bliskich mi ludzi. A więc w zamyśle Boga jestem mężczyzną, jednak moi rodzice spodziewali się i bardziej pragnęli dziewczynki i może to normalne, bo każdy ma prawo do tego, żeby czegoś chcieć mniej lub bardziej, jednak zostałem o tym kilkakrotnie "poinformowany", czasem sam a czasem w towarzystwie innych ludzi na jakimś spotkaniu rodzinnym. Dziwnie się człowiek czuje kiedy słyszy coś takiego, jednak dla mnie jako chłopaka czy już mężczyzny była to informacja, że nie jestem tym, kogo się spodziewali i kogo bardziej chcieli. Z relacji moich rodziców, byłem dzieckiem spokojnym, opanowanym, po prostu grzecznym. Z teraźniejszego punktu widzenia mogę dodać, że ładnym, urodziwym chłopcem, prawie jak dziewczynka. Może to, że nie jest się tym, kogo się bardziej spodziewano, można odczuć i można podświadomie zacząć spełniać oczekiwania rodziców.

Do bycia grzecznym, pewnie wiele razy wrócę, jednak wiem, że nie takiego mnie przewidział Pan Bóg i, że to nie dla mnie. A dalej chciałbym podzielić się tym, że jako greczny chłopiec byłem pupilkiem swojej mamy, bo nie miała ze mną zbytniego kłopotu. Posłuszny, spokojny chłopiec, który chętnie pomagał mamie. Oczywiście żeby dodać do tego jeszcze coś, to zjadałem zawsze swoją porcję i dobrze się chowałem, bez kłopotu, jakże by inaczej, jak ja czułem, że już sprawiam tyle kłopotu będąc nie tym, kogo się spodziewano. I w swoim dzieciństwie zacząłem tracić swoją tożsamość, będąc skazanym na spełnienie oczekiwań rodziców, zamiast powoli stawać się oddzielnym człowiekiem. Stawałem się coraz bardziej otoczony swoimi rodzicami, którzy oczywiście nieświadomie nie pomagali pokazać swoich talentów, zalet, aby ich później rozwijać. Oczywiście problem jest pewnie bardzo złożony, po prostu nie mieli tego w domu, robili to czego sami doświadczyli. I nie piszę tego po to, żeby szukać winnych, ale po to, aby można było wyciągnąć odpowiednie wnioski dla siebie, aby przebaczać słabość swoją i swoim bliskim zresztą jakbym nie przebaczył absolutnie nie brałbym się za pisanie, bo wtedy moja historia byłaby nacechowana oceną, osądem i brakiem miłosierdzia. A przebaczenie jest wtedy, kiedy nikt nie jest winny, a mój wysiłek jest po to aby budować to co może pomóc w rozwoju, aby odważnie poruszać trudne kwestie życiowe, po to aby siebie zrozumieć, przyjąć, zaakceptować i prosić Pana Boga o uzdrowienie. Moje przeżywanie codzienności na czas, dzieciństwa, pamiętam jako zbiór rozkazów, krytyki, czasem ale bardzo rzadko, pochwał i nie byłem chwalony bezpośrednio. Nikt z rodziców nie mówił mi, że coś dobrze zrobiłem, ale czasem dobrze mówili o mnie przy innych ludziach, albo potwierdzali pochwały nauczycieli, sąsiadów czy kogoś tam jeszcze. W tamtym czasie po prostu starałem się zadowolić rodziców, zwłaszcza mamę i właściwie nie pamiętam aby to się udało. We wszystkich moich poczynaniach oczywiście, dało się, znaleźć coś do czego można się było przyczepić. I to zostało we mnie bardzo mocno zaszczipione. Zawsze czułem i czasem czuję

jeszcze teraz, choć teraz rozumiem o co chodzi, że nie spełniłem oczekiwań ani swoich, ani Boga, ani rodziców. Zawsze za słabo i za mało i to jest w moim sercu.

Często chciałem wszystko robić, szybko, dokładnie, bez kłopotu. Aby nie zwracać na siebie uwagi i nie zajmować nikomu za dużo czasu. To takie czucie się niepotrzebnym, zawadą, która przeszkadza. Dlatego trudno mi było iść do ludzi i wierzyć, że mnie lubią, że odpowiada im moje towarzystwo. Trudno dziś odczuć to, że ktoś np. ucieszy się na mój widok i cieszy się po prostu, że jestem. A co dopiero uwierzyć w to, że zawiodę i ktoś powie spokojnie „zdarza się”, kiedyś to było nie do pomyślenia. I tak stawałem się małym człowiekiem, na którego wpływali rodzice, szkoła, nawet Kościół uczył dobrze wykonywać powierzone zadania szybko, dokładnie. Dziś bym powiedział, że ludzie chcieli zrobić ze mnie dobre narzędzie bez serca, bez tożsamości, bez miłości.

W tym miejscu chciałbym też podzielić się jako rodzic już dorosłych dzieci, że usłyszałem kiedyś, że jest hodowanie dzieci, tresowanie i wychowywanie dzieci. Hodowanie to żeby dziecko miało wszystko, żeby mu niczego nie zabrakło, żeby broń Boże nie odczuło jakiegoś braku, żeby moje dziecko miało wszystko np. bo ja nie miałem, jak byłem dzieckiem. Niech rośnie, niech je dobrze, niech się odżywia, ubiera, niech się wykształci, niech się bawi. Trochę takie bezstresowe wychowanie, a właściwie hodowanie egoisty. Tresura to oczywiście masz być grzeczny, kulturalny, masz się uczyć, modlić, masz robić, co ja chcę. Z tego też nic dobrego nie będzie. Wreszcie wychowanie dzieci też z mojego doświadczenia to przede wszystkim towarzyszenie dziecku w rozwoju. Do wychowania i normalności potrzebna jest bliskość, relacja, cierpliwa rozmowa, przede wszystkim słuchanie. Dziecko ma pełne prawo do wypowiadania swoich uczuć, przeżyć, mało tego ma prawo czuć i przeżywać życie inaczej niż ja, ma prawo być inne. A więc zaangażowanie się w wychowanie oznacza wysiłek i pracę, utratę komfortu życia. Na pewno jest to wybór trudniejszej ścieżki. Do tego żeby nie stawać się klonem swoich rodziców nie można dojść o własnych siłach. Można to zrobić tylko przy pomocy Łaski Bożej. Tylko Bóg jest mocniejszy od tych więzów.

Weźmy przykład z Ewangelii, jak Bóg łamie te schematy u Zachariasza, który doświadcza poważnego kryzysu stając się niemy. Pewnie według niego i jego bliskich jego syn miał zostać młodym Zachariaszem. Jednak widzimy, że Bóg ma inne plany co do jego syna. To właśnie Bóg jest ojcem każdego człowieka i On decyduje o życiu, lepiej widzi co jest dobre dla każdego. Gdyby Zachariasz nie wyciągnął właściwych wniosków będąc niemy nie byłoby tak wspaniałego Proroka, jakim był Jan Chrzciciel. A więc najważniejsze jest to, że dziecko nie należy do mnie i nie jesteśmy jego rodzicami. Najważniejszą sprawą jest to, że towarzyszymy dziecku Boga Ojca. Zresztą sami jesteśmy dziećmi Boga, żeby to robić według zamysłu stwórcy potrzebna jest relacja osobowa z samym Bogiem, jak relacja osobowa z dzieckiem. Osobowa to znaczy, że Bóg coś mówi, czegoś chce, coś czuje i oczywiście jest Bogiem i dziecko coś czuje, coś mówi, jakoś przeżywa swoje życie, jak już powiedziałem wcześniej najważniejsze są relacje, wszelkie relacje abyśmy się traktowali z delikatnością, miłością dążąc do jednego celu jakim jest sam Bóg.

W świetle tego, co odkryłem dzięki Bogu w swoim życiu mogę powiedzieć, że relacje w moim domu rodzinnym były bardzo słabe i nie dawały zadowolenia ani satysfakcji i całe szczęście, bo tak czy inaczej trzeba prędzej czy później oderwać się od rodziców. Paradoks polega na tym, że łatwiej zakwestionować bardziej oczywistą słabość. Mnie jako dorosłego

dzisiaj człowieka, który poznaje siebie dużo łączy z moimi rodzicami. Przede wszystkim to, że potrzebujemy jak wody Miłosierdzia Bożego, a dzięki miłosierdziu Bożemu możemy sobie przebaczać. To, że teraz udaje się żyć inaczej, bardziej po Bożemu, zawdzięczam jedynie łasce Bożej, dzięki której poznałem inne życie i dzięki łasce podjąłem wysiłek dążenia i szukania celu w życiu jakim jest Jezus.

Wracając do mojej historii to mam dwóch starszych braci i młodszą siostrę. Przez długi czas byłem najmłodszy. I wiecie jak to jest być najmłodszym. Tu nie chcą zabrać, bo to dziecko, w piłkę z nimi grać bo za mały, bo dostanie piłkę, bo mu się coś stanie. Jeszcze się do różnych zabaw nie nadaje. I pamiętam, że często mi się coś przytrafiało, to się skaleczyłem, to się gdzieś zgubiłem. Rodzice chcieli żebym z nimi chodził, bracia nie. Trochę taki podrzutek, przybitek, raz nawet mnie szukali w studni. Przypomniała mi się historia Józefa Egipskiego wrzuconego do studni i sprzedanego do Egiptu. I znowu przeżywałem coś w rodzaju odrzucenia, bycia zawadą, bycia niepotrzebnym. Dziś mogę powiedzieć, że czułem się w tym samotny, brakowało mi strasznie bliskości z kimś, relacji, zwykłego zainteresowania. I tak stawałem się coraz bardziej samotny, próbując stwarzać sobie sam kawałek świata, który będzie moim miejscem, gdzie się będę czuł bezpiecznie. Lubilem porządkować np. pokój, urządzić się, dbać o porządek, aby w tym miejscu była harmonia, spokój. Próbowałem wyrwać się z tego, co było w domu. Było we mnie pragnienie miłości, harmonii, piękna. Jednak na tamten czas byłem skazany, aby żyć tak jak moja rodzina.

Żeby nie mówić o moim dzieciństwie, ze strony bardziej przykrych doświadczeń to pamiętam też wiele rzeczy miłych, które zapadły w moim sercu i pamiętam je do dziś. Takim wydarzeniem były pierwsze narty, które zapamiętałem oczywiście od Św. Mikołaja, pamiętam jak dobrze było czuć bliskość mojego taty, jak trzymał mnie na kolanach i sadził zarost. Drapanie zarostem, grę w karty, kiedy to tata miał czas dla mnie. Pamiętam wspólny wyjazd do Częstochowy z mamą i tatą. Jazda na nartach z braćmi, pamiętam jak składają modele samolotów i puszczają. Dobrze wspominam też jazdę na nartach w nocy przy blasku księżyca. Teraz w moim sercu rodzi się radość i wdzięczność za okrucy dobra i akceptację, przebaczenie tego co mnie raniło, bolało. I chciałem to powtórzyć, że to jest mój osobisty odbiór mojego życia.

Byłem dzieckiem bardzo zdolnym w nauce. Czytać i pisać umiałem jeszcze przed pójściem do zerówki. A w szkole szło bardzo dobrze wszystko przychodziło mi łatwo bez zbytniego wysiłku. Uczyłem się bardzo dobrze do tego stopnia, że w czwartej klasie mój wychowawca zaproponował, aby po pół roku czwartej klasy iść na pół roku do piątej a potem normalnie do szóstej i tak się stało. Tata został wezwany do szkoły i o tym poinformowany i tym sposobem skróciłem sobie o rok edukację w moim życiu. W tej sytuacji w szkole też nie miałem swojego miejsca, bo z jednej strony czułem się chłopakiem, który chce pobroić, pograć w piłkę, pobiegać, a z drugiej byłem uważany za grzecznego i poważnego jak na swój wiek młodego człowieka. I tu też się źle czułem i pomyślałem teraz że pewnie dlatego, że nigdzie nie byłem tym kogo się spodziewano. I tak naprawdę nigdzie nie czułem się do końca akceptowany, przyjęty do wspólnoty. Jednak z dzisiejszego punktu widzenia dzięki temu stałem się poszukiwaczem nowego, lepszego życia, po prostu poszukiwaczem Boga i to dzięki poczuciu odrzucenia, nieakceptacji. I dlatego nie nazywam tego stanu ani dobrem ani złem, bo jak widać na moim przykładzie wszystko prowadzi do dobra. Ja dzisiaj tak twierdzę,

że nie wolno oceniać i osądzać ani ludzi ani wydarzeń, bo człowiek patrzy za bardzo na to co będzie zaraz, a Bóg patrzy dużo dalej. Dlatego dobrze jest poczekać cierpliwie na rozwój wydarzeń w życiu. Ja mam dziś pewność, że moje życie ani na chwilę nie wymknęło się Panu Bogu spod Jego kontroli, pracował i nadal ciężko pracuje, aby moje życie miało sens. Na tamten moment można by powiedzieć, że miałem raczej trudne dzieciństwo, ale po latach wszystko nabrało smaku, sensu i piękna nawet przygody, w której dziś dostrzegam Boga. Z każdej trudności, przegranej, nawet klęski potrafi wyciągnąć dobro.

Wspominam jeszcze w tamtych latach to że byłem sportowcem. Jako dziecko dosyć dobrze rozwinięte fizycznie umiałem także dobrze jeździć na nartach i pewnego dnia zapisałem się do klubu i zostałem skoczkiem narciarskim. Przez pewien czas jako 10 może 12 latek nawet wygrywałem zawody w swojej kategorii wiekowej i dobrze się zapowiadałem. Jednak w tej dziedzinie też poniosłem porażkę nie udało się, kontuzje, zniechęcenie, bunt, może brak wsparcia. To też nie było dla mnie, choć był czas, że treningi traktowałem bardzo poważnie, jednak miałem wrażenie, że mój organizm jest za delikatny, że ścięgna i mięśnie nie wytrzymują. Praca nie przynosiła efektów i po prostu po pewnym czasie miałem tego dość i skończyłem. Jednak w pragnieniach, marzeniach czy oczekiwaniach, gdzieś zostało niespełnienie się w tej dziedzinie mojego życia. Niedosyt, że mogłem próbować jeszcze. Ale stało się, to co wybrałem. Potem chciałem iść na studia, albo nie wiem czy chciałem, bo to był czas zniechęcenia co do nauki, sportu, życia. Niby próbowałem, ale byłem wypalony, zniechęcony i nie wierzyłem w to, że cokolwiek może się udać. Zostało mi tylko to, żeby zostać w domu i robić to co rodzice i żyć jak oni żyją. Chciałem się wychylić, chciałem inaczej, niestety nie udało się i pewnie w tamtym czasie zacząłem się coraz gorzej czuć nawet sam ze sobą. Nawet sam dla siebie byłem nie tym kogo się spodziewałem.

Można powiedzieć "Oto człowiek" oto ja bez wykorzystanych talentów, manipulowany, za słaby, aby się poderwać, zupełnie nie taki jaki chciałem, bez nadziei na lepszą przyszłość, na szczęście, na spełnienie. Panie Jezu jak blisko wtedy byłeś a ja Ciebie nie dostrzegałem. Ty byłeś ze mną jako straceniec, wyszydzony, odrzucony, nie poznałem Ciebie, bo byłeś nie taki jak ja się spodziewałem i to nas wtedy tak bardzo zaczęło łączyć. Choć jak na tamten czas nie byłem tego świadomy. I po prostu Ciebie nie umiałem dostrzec w swoim życiu.

II KRZYŻ NA RAMIONACH

Po ukończonym liceum, nieudanych egzaminach na studia, a próbowałem zdawać na AWF i leśnictwo, wróciłem do domu. Próbowałem czegoś się nauczyć, coś osiągnąć, ale nie byłem w stanie. Zastanawiam się dlaczego? Chyba dlatego, że byłem w tym za bardzo samotny, no i rodzice za bardzo się nie interesowali tym co robię, do czego dążę, ile pracy wkładałem w trening i naukę. Nigdy tego nie usłyszałem, ale miałem wrażenie, że mój powrót do domu był w rodzaju "A nie mówiłem?", "Po co to wszystko było". Było to coś w stylu przyznania im racji, że najlepiej jest robić, to co oni i żyć tak jak oni. Byłem na tamten czas bez zawodu, bez pomysłu na życie, myślałem o wyjeździe za granicę, ale nawet to skończyło się na niczym, głównie przez mój brak konsekwentnego działania. Wszystkie moje pomysły,

dążenia, zostawały bez realizacji. W moim mniemaniu wszystko było skazane na porażkę. Zacząłem pracować w domu, tata płacił mi za pracę, którą wykonywałem przy robieniu pantofli i tak nauczyłem się zarabiać, jednak to była robota na przetrwanie. Do niczego nie dążyłem, po prostu egzystowanie, aby się nikt za bardzo nie czepiał. To był taki bunt, ale przeżywany w swoim wnętrzu, o którym tylko sam wiedziałem i nie miałem odwagi, aby wyrażać co czuję, bo wszystko chciałem zachować dla siebie. Hodowałem w sobie bombę, która mnie niszczyła. Po jakimś czasie zacząłem to robić na własną rękę i wtedy już bardziej się w to angażowałem, bo jako młody mężczyzna chciałem robić coś za co od początku do końca będę odpowiedzialny, to było nawet fajne, bo to dobrze szło, była chęć do pracy, były też z tego pieniądze. Jedynym co mi wtedy najbardziej brakowało, to była aprobata i wsparcie rodziców, zwłaszcza taty. Nie chodzi mi o wsparcie materialne, czy pieniężne. Absolutnie! Chodziło o to, co dziś bym nazwał błogosławieństwem ojcowskim. Coś w stylu, że fajnie, że to robisz, że jesteś samodzielny, że cię podziwiam. Moje skrzydełka były raczej podziurawione, żebym nie dostał wiatru w żagle. W moim poczynaniach przecież zawsze można było się dopatrzyć niedoskonałości, błędów, które popełniałem i popełniam. Najważniejsze dla mojej mamy to jej słuchać i być grzeczny, bo jest chora albo, że się wyprowadzi z domu i tak to życie się toczyło. Dziś wiem jaką siłą jest błogosławieństwo rodziców. Wsparcie, dobre słowo, aprobata. Jaką siłę mają wypowiadane słowa, wykonywane gesty, zwłaszcza w relacjach rodzic-dziecko.

Sam mam już dorosłe dzieci i rozmawiam z nimi, mam z nimi relacje, bliskie relacje, zwłaszcza z synem i mogę powiedzieć, co od niego dziś słyszę. Jest wdzięczny za wsparcie, w tym co chciał robić, zresztą chciał i robił. Pamiętam jak chciał zostać muzykiem, perkusistą i wydawało się to na tamten czas mało realne. Pierwszy egzamin do szkoły muzycznej pojechał zdawać z naszym znajomym księdzem. I co? Oczywiście nie zdał, a to dlatego, że nie pojechał tam ze mną. Bo moja obecność, poświęcony czas dla syna, moja rezygnacja z siebie, swoich przekonań, swoich planów związanych z przyszłością syna były potrzebne, aby on otrzymał błogosławieństwo ode mnie. Nie chodzi tylko o słowa, wypowiedziane błogosławieństwo, ale idące za tym czyny. Na drugi egzamin pojechałem tam z nim, on zdawał a ja czekałem na niego i prosiłem Boga, aby mu pomógł, a dokładnie chodziłem dookoła szkoły i odmawiałem koronkę do Miłosierdzia Bożego i udało się. Syn sam wybrał co chciał no i wiedział o moim wsparciu, nie tylko wiedział, ale i go doświadczał. W krótkim czasie zrobił niesamowity postęp, dzięki swojemu wysiłkowi i pracy, godzeniu liceum i szkoły muzycznej. Wstawał o 6.00 rano, przyjeżdżał ze szkoły o 20.00 i tak prawie codziennie. Jaka aprobata rodziców może wyzwolić w młodym człowieku energię do życia, do rozwoju. Szybki rozwój talentu i zaczął myśleć o studiach muzycznych. I to też się udało dzięki Bogu, dzięki pracy syna, trochę dzięki nam, rodzicom. Nie byłem w stanie wspierać go finansowo, bo akurat i też nie jest przypadek, finansowo stałem słabo, ale dzięki temu zobaczyłem co było najważniejsze w tym momencie. Mówiłem mu "trzymaj się Boga, bo to on jest twoim Ojcem, módl się i dąż do tego co wymodlisz" i tak się działo i dzieje do dziś. Z córką było podobnie. Chciała zostać fryzjerką, a mnie się wydawało, że jest na tyle zdolna żeby iść do liceum, ale po rozmowach z żoną uznaliśmy, że jak chce, to wspieramy ją. I stało się podobnie jak z synem, sama wybrała, sama wzięła trud nauki i praktyki na siebie, bardzo szybko wszystkiego się uczyła. A jak skończyła zawodówkę, powiedziała sama, że idzie do liceum wieczorowego i go skończyła. Najważniejsze jest

błogosławieństwo, czyli aby dobrze życzyć dziecku w tym co wybrało i do czego dąży, to dodaje skrzydeł.

Największą krzywdę robią rodzice swoim dzieciom planując im przyszłość, dokonując za nich wyborów. Przeważnie te wybory, to spełnianie niespełnionych pragnień rodziców. To nie ma nic wspólnego z miłością, bo to jest traktowanie swoich dzieci przedmiotowo. Najważniejsze jest to, co mówi i co czuję, jak przeżywa życie dziecko albo już młody człowiek. Ja jako młody człowiek nie czułem tego wsparcia, błogosławieństwa i stawałem się coraz bardziej nie tym kogo się spodziewano. Sam dla siebie stawałem się coraz bardziej obcy, bo coraz trudniej było mi odkrywać, kim jestem. Myślałem, że na aprobatę, miłość, akceptację trzeba zasługiwać. Samo istnienie dla mnie już było wystarczającym kłopotem i stratą czasu może to bardzo odważne stwierdzenie, ale to chyba najgłębsza rana w moim sercu, rana, która boli do dziś, ale też rana błogosławiona, która najbardziej zbliża do zranionego Jezusa, który też był nie tym, kogo się spodziewano.

Oczekiwanie ludzi co do Mesjasza były takie, że to będzie król, który z siłą i chwałą wyzwoli Izraela z niewoli okupantów, a tu Mesjasz przyszedł jako ktoś bardzo ubogi, odrzucony, nie przyjęty przez ludzi, którzy byli samowystarczalni, zdrowi i mocni i tak jest do dziś. Ubogi, zraniony Jezus przychodzi do tych, którzy Go potrzebują.

Moje wejście w dorosłe życie było dla mnie porażką, przegraną. Moje próby życia szczęśliwego, spełnionego coraz bardziej, były nieudane, takie życie jak ja sobie wymyśliłem, stawało się już coraz większą iluzją. Ale zostały jeszcze pragnienia co do małżeństwa, rodziny, bo przecież przez ten czas już spotkałem się z moją terazniejszą małżonką i wtedy coraz bardziej imponowało mi skromne życie i miłość, po prostu życie, szacunek, wzajemna pomoc, wspólne przeżywanie, trudności. I właśnie w Jadzi zauważyłem kogoś z kim można przeżyć właśnie tak życie, bo właśnie od niej pierwszy raz w życiu doświadczyłem czegoś co było miłością. Doświadczyłem, że ona chce mnie, chce ze mną spędzać czas, gdzieś iść, albo stać, nie ważne, byle razem. Nadzieja, plany, marzenia wróciły i wrócił sens życia. Wtedy moje marzenia wyglądały tak: mały dom, skromny, czysty, uporządkowany, pełen harmonii, praca nie ważna jaka, raczej interesowało mnie to, by wystarczało na podstawowe potrzeby, przeciętne auto, aby można było się przemieszczać i żeby dobrze służyło. A to co najważniejsze, to poczucie szczęścia, poczucie bycia z kimś, kto mnie kocha i bycia dla kogoś na dobre i na złe.

Jadzia była i jest skromną, cichą, pogodną, ciepłą osobą, przy której chciałem spędzić resztę życia. I tak się stało i bym powiedział, że nie przy pełnej aprobacie rodziców i znów zrobiłem coś na co oni do końca nie mieli ochoty, ale całe szczęście poszedłem za tym do końca i wzięliśmy ślub. Wesele też nie było po naszej myśli, nie miałem wtedy na tyle odwagi i siły, aby nie ulec w tym rodzicom. Sam ślub był dla mnie bardzo wielkim przeżyciem. Przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej na Bachledówce pierwszy raz doświadczyłem wielkiego pokoju w sercu i już wtedy wiedziałem, że to że Jadzia została moją żoną nie jest przypadkiem, że jest to nam dane z góry od Boga. Zamieszkaliśmy u moich rodziców i Jadzi też udzieliła się atmosfera mojego domu rodzinnego, na tamten czas byłem za słaby i za bardzo związany z moimi rodzicami, aby skutecznie bronić i ochraniać Jadzie. Przeżywaliśmy trochę razem, trochę osobno, trudności związane z relacjami z mamą, która jak zwykle szukała jakiegoś problemu, pouczała i się wtrącała. Baliśmy się, zwłaszcza Jadzia, która zostawała w domu jak ja szedłem do pracy, przeżyła tam swoje i nie o

wszystkim wiedziałem od razu. Dziś wiem, że najlepiej jest szukać swojego kąta i wtedy zaczęliśmy budować dom. Bóg dał siły do pracy i dał też dochody na ten czas i udało się w ciągu dwóch lat zamieszkać w swoim domu. Był to nasz wysiłek z Jadzią, dużo pracowaliśmy, wiele nieprzespanych nocy, wiele wspólnego wysiłku. Rodzice pomogli, dostałem działkę, trochę materiałów budowlanych, jednak jest mi bardzo trudno do dziś być wdzięcznym za to, ponieważ tak wiele razy ta pomoc została wypomniana. Fakt faktem pomogli i chcę być za to wdzięcznym. Często w tym czasie czułem się rozdarty między byciem mężem Jadzi, a byciem synem moich rodziców. Pępowina nie była zerwana i mimo, że w byciu mężem nie miałem zbyt wielu powodów do zmartwień, nawet się starałem trzymać stronę mojej żony, czasem mówienie „nie” rodzicom bardzo bolało. I znów w moim życiu był czas niezdecydowania, czas, w którym nie byłem do końca na swoim miejscu i nie wiedziałem dłużej. Teraz myślę, że chciałem zadowolić wszystkich tylko nie siebie. Nie potrafiłem wybierać tego co było dla mnie korzystne i jak już wspominałem, coraz bardziej stawałem się człowiekiem bez tożsamości, czyli bez swojego zdania, swojego pomysłu na życie gdzieś się schowałem, aby za bardzo nikomu nie szkodzić i trwać, żeby nikt się za bardzo nie czepiał.

Byłem człowiekiem uczynnym, grzecznym, pracowitym i naprawdę się starałem, starałem się o to, aby nikt się za przeproszeniem nie czepiał. Próbowałem zaspakajać potrzeby innych, Jadzi, rodziców, dzieci, nawet Pana Boga, albo tego obrazu Boga, który wtedy miałem. Wychodziło z tego wszystkiego wielkie zamieszanie i chaos, gdyż nie dawało mi to satysfakcji, wszystko było bez sensu, bez życia i smaku. Dziś myślę, że po prostu bez miłości, liczyło się tylko wykonywanie zadań i poleceń, które były wydawane przez żonę, dzieci, rodziców, mnie samego, nie wspominając już o Bogu - bo właśnie to nie On był najważniejszy, tylko ja. Liczyło się tylko moje przetrwanie, postrzeganie świata, ludzi i postrzeganie Boga, którego to ja sobie sam stworzyłem i w takiego wierzyłem i tak przeżywałem życie. Jak dużo chciałem mieć rzeczy na raz, a te największe ciężary, to oczekiwania, najpierw oczekiwania rodziców, aby być grzecznym, spokojnym człowiekiem, który robi co do niego należy, który słucha swoich rodziców i jest im posłuszny. Oczekiwania, że będą dla mnie ważniejsi niż Jadzia, niż dzieci. Oczekiwania Jadzi, aby z nią być, ją wspierać, pomagać, trzymać w każdej sytuacji jej stronę, bronić ją, pracować na rodzinę, pomagać wychowywać dzieci. Oczekiwania Boga, który chce, abym był dobrym, cichym człowiekiem, który aby być kochany musi wypełniać jego nakazy. Oczywiście te oczekiwania o których wspominałem są to moje subiektywne wyobrażenia o oczekiwaniach innych. Mieszanka tego co słuszne, niesłuszne, mieszanka rzeczy których po prostu nie da się wypełnić i pogodzić, choć wiele z nich jest dobrych i słusznych. Jedynym moim oczekiwaniem było, aby to jakoś ogarnąć, odfajkować i dążyć do tego co wszyscy, no aby sobie wykończyć dom, kupić auto, sprawić sobie raz na jakiś czas jakąś przyjemność, no i pewnie udawać, że jest wszystko w najlepszym porządku. Byłoby w porządku, gdyby nie moje serce, które ciągle mówiło, że to nie da szczęścia, że nie tędy droga, że to się nie uda.

Na tamten czas moje życie było uporządkowane zewnętrźnie. Byłem mężem, ojcem dwójki dzieci. Miałem, albo mieliśmy dom, samochód, dogadywałem się z Jadzią, dzieci dobrze się uczyły, miałem pracę. Moje stosunki z rodzicami, z rodzeństwem były poprawne. Mój stosunek do Boga był taki, że się modliłem, że odmawiałem pacierz, że modliłem się z dziećmi, chodziłem do Kościoła w niedzielę, czasem na nabożeństwa. Korzystałem ze

spowiedzi, chodziłem do Komunii Św. Wszystko chciałoby się powiedzieć w porządku, ale gdzie moje pragnienia, tęsknoty, radykalne wybory, gdzie to wszystko co piękne, szlachetne, gdzie heroizm, romantyzm, gdzie przede wszystkim miłość! Znowu czułem się samotny w tym wszystkim, ciągle samotny w podjętym trudzie dorosłego życia. Ciągle czułem się nie na swoim miejscu, wyobcowany, niechciany, skazany na porażkę. Zacząłem tracić siły, wiedziałem że tak długo nie pociągnę, że to życie zamiast smakować mnie przytłacza, przyciska, daje w kość. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji się narzeka, narzeka na wszystko, ma pretensje do wszystkich.

Dziś wiem jak blisko mnie wtedy był Jezus, niosący ciężki krzyż, niosący swoją i moją hańbę. W ogóle go nie dostrzegałem w swoim życiu, bo byłem nastawiony na odnoszenie sukcesów życiowych, byłem nastawiony na to, że życie będzie przyjemnie spełnione, wygrane, bo próbowałem patrzeć wysoko do nieba, aby go zobaczyć. O Jezu jak jesteś bliski, jak ubogi, jak dostępny, a ja tak często szukam Ciebie wysoko w niebie, a Ty zawsze jesteś tu i teraz.

III I UPADEK

Brak relacji spowodował u mnie, że przeżywałem życie swoją miarą to znaczy postrzegałem świat, ludzi, którzy mnie otaczali wg tego co ja o nich myślałem. Skoro się nie modliłem, nie czytałem Słowa Bożego, nie próbowałem słuchać tego, co Bóg ma do powiedzenia, to żyłem tym co mi się wydawało, że Bóg chce ode mnie. Dobrze powiedzieć „chce”, bo myślałem, że wszyscy będą coś chcieć ode mnie, jak moja mama. Zupełnie nie rozumiałem tego, że ktoś może mnie kochać bezinteresownie. U wszystkich, łącznie z Bogiem, widziałem oczekiwania wobec mnie, że jak je spełnię będę w porządku. Brak rozmowy, słuchania powodował, że się domyślałem, albo miałem domyślić czego chce ode mnie druga osoba. A więc można by to tak ująć, że sam sobie wyobrażałem ,czego ktoś ode mnie oczekuje i próbowałem to robić, aby zadowalać ludzi. A było to po to, żeby zasłużyć na okrusz akceptacji, aprobaty. I tak samo postępowałem wobec siebie samego, bo po prostu nikogo nie słuchałem i nie wiedziałem, że można inaczej. Nie umiałem być z kimś w relacji w bliskości.

Jak już wcześniej wspomniałem moja samotność stawała się coraz większa, frustracja narastała, wydawało mi się, że osiągnę jakiś cel wyznaczony przez siebie, doświadczyć spełnienia albo chociaż ulgi. Nic takiego się nie działo co by dawało satysfakcję i radość życia, pograżyłem się w smutku, nie radziłem sobie coraz bardziej.

Lekarstwem na moje życie stawał się alkohol. W moim rodzinnym domu alkohol zawsze był. Wszystkie uroczystości rodzinne, takie jak wesela, chrzciny nie mogły się odbyć bez trunków i wspomagaczy. Jako dziecko pamiętam kłótnie rodziców, które dotyczyły picia alkoholu przez tatę. Wiem, że mama często bała się, że ojciec wróci pijany do domu. A więc były to przykre przeżycia dla mnie, jednak to nic nie przeszkadzało abym sam zaczął próbować pić, chociaż wiedziałem, że to nie prowadzi do niczego dobrego. Pierwszy raz poczułem działanie alkoholu mając ok. 16 lat. Było to doświadczenie przede wszystkim ulgi. Poczułem, że mogę się na chwilę wyłączyć, wyłączyć to coś w sobie - to uczucie robienia

czegoś, dążenia do czegoś. Uczucie że muszę działać, osiągać kolejny wyznaczony przez siebie cel w życiu. Tak naprawdę czy ten cel osiągnąłem czy nie zawsze pojawiała się frustracja, bo w miejsce czegoś co miało mi dać ukojenie, spełnienie, pojawiała się coś następnego. I nie potrafiłem tego „napędu” w sobie wyłączyć; zatrzymać się. Byłem jak człowiek który bał się swoich śladów i zaczynał przed nimi coraz bardziej uciekać. Pojawiało się ich coraz więcej, a więc uciekał coraz szybciej, a powinien się zatrzymać. Ale niestety nie umiałem, nie potrafiłem. To że gdzieś biegłem, planowałem, oczekiwałem było spowodowane tym, że nie potrafiłem po prostu zaakceptować siebie i swojego życia: to jest we mnie do dziś. Jest we mnie ogromna, "czarna dziura", która domaga się akceptacji, potwierdzenia i miłości.

Takim celem była np. budowa domu. Potrafiłem bardzo dużo dać z siebie, bardzo dużo pracowałem i taki upracowany, zmęczony czułem się spełniony, bo byłem tak tym zajęty, tak zaangażowany, że po prostu nie miałem siły ani ochoty, aby myśleć o czymś innym. Pamiętam, że dobrze wspominam ten czas, czas wysiłku, zaangażowania, pracy. Wszystko to było potrzebne, ale później chciałem się zatrzymać, a to już było bardzo trudne. Sam siebie traktowałem i do dziś czasem traktuje jak przedmiot, do wykonywania zadań, robienia czegoś i niestety myślę wtedy, że jestem wart tyle ile czegoś robię, na ile do czegoś dążę.

Wracając do alkoholu on dawał właśnie tę chwilę na zatrzymanie się, na zalanie tego pędu donikąd. Najpierw oczywiście były to chwile pocucia się kimś, bo alkohol dawał mi złudne poczucie się bardziej śmiałym, bardziej dorosłym. Z jednej strony ulga a z drugiej coraz większy lęk, frustracja bo przecież wszystko zostawało bez zmian, a picie z biegiem czasu dokładało tylko problemów zamiast ich rozwiązywać. Na początku nie wiedziałem, że to niebezpieczne w sensie, że można wpaść w alkoholizm. Jedyne co się pojawiało to wstyd, że coraz więcej pije i aby nie pić z pijakami np. pod sklepem, coraz częściej piłem sam. Starałem się zachować zewnętrzne pozory, że nie mam z tym problemu. Zawsze starałem się być ogolony, zadbany, w miarę ubrany. Nie mnie to oceniać jak to wychodziło na zewnątrz, mogło to wyglądać dla tych którzy wiedzą o co chodzi bardzo komicznie, ale bardzo dramatycznie. Dziś widząc człowieka jak kupuje alkohol mogę zobaczyć siebie, który dorzuca jakieś słodycze dla dzieci dla niepoznaki, że tak naprawdę chodzi mu tylko o piwo czy inny alkohol. W pewnym momencie, którego nie potrafię określić wpadłem w alkoholizm. Każdy pewnie ten moment przegapia, bo raczej nikt nie pije po to, żeby się stać alkoholikiem. Przynajmniej ja nie chciałem i nie znam nikogo takiego. I od tamtego czasu zacząłem pić bo musiałem i nie potrafiłem się nie napić.

Byłem jak opętany z krainy Gerazeńczyków. Jak zawsze samotny, ale teraz coraz bardziej samotny, żyjący w swoim świecie, w swojej jaskini daleko od ludzi, od wspólnoty. Z jednej strony wydawało mi się, że wszyscy mnie odrzucają, że nie zasługuję na miłość. Wydawało mi się, że Bóg o mnie zapomniał a tak naprawdę sam zacząłem się izolować od innych. Sam się odrzucałem, bo wiedziałem że w mojej samotności będę mógł pić i wiedziałem też, że jak chce wrócić do relacji z Bogiem i żoną to trzeba z tym coś zrobić, po prostu przestać pić. Jednak mimo że wiedziałem że to złe chciałem pić, bo to dawało ulgę. I tak siedziałem w swojej jaskini z piwem, przed telewizorem, marząc o tym, że stanie się jakiś magiczny cud w moim życiu, który spowoduje, że stanę się człowiekiem szczęśliwym. Czasami próbowałem nie pić. Postanawiałem, ale się nie udawało. Kłóciłem się z Bogiem,

że muszę pić! Bałem się, coraz bardziej, bałem się, bo widziałem że nie dam rady i co ze mną będzie. Wszelkie obietnice i postanowienia były bardzo kruche. Jak człowiek opętany, „łańcuchy kruszył, a pęta rozrywał” i cały czas szedł w stronę coraz większej samozagłady. A na zewnątrz udawałem, że wszystko w porządku, praca jest, rodzina jeszcze jest, dom, samochód jest, do kościoła chodzę - zaliczone. Czyli co, niby wszystko w porządku. A w środku, w sercu ruina. Ile tak można pociągnąć- nie wiem. Byłem na skraju zagłady, nad brzegiem morza piekła i to tylko kwestia czasu, aż wszystko runie w morze. Nie wiedziałem, że Bóg jest przy mnie, bo myślałem, że On kocha tych co wypełniają jego przykazania. Więc „tłukłem się kamieniem” jak opętany, obwiniałem siebie, że jestem do niczego, że to wszystko stracone i nie było do pomyślenia wtedy dla mnie, aby zaakceptować to, że jestem alkoholikiem. Bałem się, że zostanę odrzucony przez Boga i przez ludzi, że nie spełniłem ich oczekiwań, nie jestem taki jak oni chcieli, ani nie jestem taki jak sam chciałem być. Brałem wtedy piwo i jechałem do lasu, aby pić i się kłócić z sobą, z Bogiem, z Maryją. Piłem, użalałem się nad sobą i bardzo cierpiałem. Alkohol tylko pogłębiał we mnie tę samotność w której żyłem. Trudno było wiedzieć kim jestem i po co żyje. Czy jestem zwierzęciem, czy jeszcze człowiekiem. A może świnia? Chyba jednak nie, bo gdybym nią był to bym już doświadczył samozagłady, to Jezus by pozwolił abym umarł na miejscu. Dziś wiem, że Jezus był i jest bardzo blisko mnie bez względu na to czy ja mam tego świadomość czy nie. Nawet śmiem powiedzieć, że w tym upadku, upodlenia jest On bliżej mnie niż kiedykolwiek. I to że czułem się skreślony przez siebie i przez ludzi pomogło mi zwrócić się do Niego o pomoc. Taki jest Mój Bóg.

Wracając do tamtego czasu, to wiedziałem, że jest coś nie tak, że życie mi umyka, że tracę szansę i nadzieję na to szczęście, którego oczekiwałem. Moja żona też się o mnie martwiła, choć ja wtedy tego nie widziałem, martwiły się o mnie i o nas nasze dzieci. Też tego nie widziałem, bo byłem za bardzo skupiony na sobie i na swoim bólu. Człowiek w takich momentach nie widzi jak bardzo alkoholizm dotyka całej rodziny, jak rozwała relacje, ile powoduje strachu u członków rodziny, jak rani serca wszystkich domowników. A ja myślałem, że to dotyczy tylko mnie. A to dlatego, że nikogo nie kochałem i wydawało mi się że mnie też nikt nie kocha. Coraz częściej żona mówiła że jest coś nie tak, że za dużo i za często pije, więc coraz bardziej udawałem i coraz bardziej kłamałem. Chodź z dzisiejszej perspektywy miałem wtedy wiele powodów do radości z życia to alkohol coraz bardziej mnie niszczył, zwłaszcza moją tożsamość, moją osobowość i resztki jakiegokolwiek radości z życia. Wpadłem po uszy i byłem coraz bardziej tego świadomy, najbardziej bałem się o to, że moje dzieci, zwłaszcza syn, powtórzy moje błędy, że swoim postępowaniem daje przykład przegranego złego życia.

Zacząłem też szukać pomocy, albo brać pod uwagę np. wizytę u psychologa, jednak zdecydowałem się na złożenie ślubu abstynencji na Zakopiańskiej Górze. Najpierw krążyłem wokół tej Górki, to jechałem, wracałem, bo nie znalazłem gdzie to jest, pomodliłem się w Kościele i wróciłem przekonany, że jeszcze poczekam. Ale po kolejnych upadkach, niedotrzymanych swoich postanowieniach w końcu udało się tam trafić i zaślubować najpierw na 1 rok. Żona była bardzo zadowolona z tego kroku, bo zaczął się jakiś pozytywny ruch w temacie mojego picia. Oczywiście, ja byłem mniej szczęśliwy, bo musiałem nie pić, ale to był pozytywny rok w moim domu. Żyłem świadomie, wróciłem do życia, chociaż nie umiałem i nie uczyłem się żyć na trzeźwo. Radość życia jakoś nie wracała. Po zakończeniu

ślubowania, które dotrzymałem, wróciłem z powrotem do picia, nie umiałem i nie miałem siły, aby normalnie żyć. Potem kolejne ślubowanie na pół roku, też dotrzymane i kolejny powrót do picia. Wtedy wiedziałem na pewno, że mam problem i piłem już ze świadomością, że muszę pić. Kolejne próby przerywania picia kończyły się przegranymi. Nie piłem już dużo, ale nie potrafiłem nie wypić. Nawet to nie znieczulało mojego bólu i każde zapicie mojego postanowienia coraz bardziej mnie dołowało i stawałem się mając 32 lata wrakiem człowieka, tak psychicznie jak fizycznie i oczywiście duchowo. Jedynym wyjściem na tamten czas, które się wtedy pojawiało, było ślubowanie na Górcę, bo to działało. Przeżywając kolejny dół, pojechałem gdzieś, aby podjąć jakąś decyzję, przyszedłem do domu i coś we mnie pękło i powiedziałem żonie, że jadę za ślubować na całe życie. Na drugi dzień wypilem jeszcze parę piw, bo nie dałem rady ich nie wypić, a po południu pojechałem zaślubować. Jednak trafiłem na księdza, który nie chciał tego ślubowania przyjąć i zaproponował, abym poczekał i spróbował jeszcze nie pić, a jak się nie uda żebym przyszedł. Po dwóch tygodniach przyjechałem z powrotem, bo niestety nie potrafiłem nie pić. W kaplicy ślubowań w ten dzień był inny kapłan i przyjął ślubowanie, jakby na mnie czekał. Mogłem też z nim porozmawiać i się wyświadczyć. Wracałem do domu i płakałem ze szczęścia, bo w sercu miałem pewność, że nie będę już pił. Pamiętam też, że dostałem pokutę, aby zrobić coś dobrego, więc przygotowałem razem z synem boisko do piłki nożnej za domem, na którym graliśmy w piłkę. Zawsze w niedzielę po południu przychodziła młodzież, ale i też dorośli i była dobra zabawa. I to był już jakiś krok powrotu do życia i do zdrowia. I pojawiło się światelko nadziei na przyszłość, że nie wszystko stracone. Moja obsesja picia została mi zabrana. Byłem zdeterminowany, aby normalnie żyć i już wtedy gdzieś głęboko miałem przekonanie, że bez Boga to się nie uda. Byłem już coraz bardziej odarty ze swoich pomysłów na szczęście i życie.

IV JEZUS SPOTYKA SWOJĄ MATKĘ

No cóż przegrywam, coraz bardziej tracę na wartości w swoich oczach. Jest mi wstyd i to są uczucia, które rodziły się wtedy we mnie, kiedy coraz bardziej pogrążałem się w bezsensie życia. Czułem się pozostawiony samemu sobie przez Boga, który zdawało się, że chłoszcze z każdej strony. Przestałem pić, wydawało mi się, że wziąłem się za siebie, chciałem ogarnąć życie, zwyczajnie wziąć się do swoich obowiązków, do pracy, do bycia mężem, ojcem, jednak wszystko to zaczęło przekraczać moje możliwości i moje siły. Zamiast wracać do życia, do radości życia, do rodziny, do żony, do dzieci, do pracy, stawałem się człowiekiem, który ma tylko siły na to, aby egzystować i trwać z dnia na dzień. Nie piłem ale radość z tego trwała króciutko i nadzieja na lepsze życie odchodziła, była zupełnie nierealna. Nie rozumiałem i nadal nie rozumiem tego co się działo i dzieje.

Wtedy mniej więcej było tak, że pragnąłem być kimś, wykształcić się, niestety robiłem wszystko, aby tego nie zrobić, albo w ogóle jak już wspomniałem nie miałem motywacji, chęci, ani czegokolwiek, aby to zrobić. Później chciałem być sportowcem, coś osiągnąć, to samo, następne oczekiwania i porażka. Marzenia, plany o rodzinie, żonie dzieciach i właściwie to się spełniało, ale to nie było to czego oczekiwałem, do czego

dążyłem. Co jest? Przecież to mam i nie potrafię normalnie żyć, trudzić się, dążyć do czegoś. Byłem wrakiem człowieka. Potem próbowałem przestać pić, Bóg dał łaskę i znów coraz gorzej? Tak mój stan się pogarszał, mój stan psychiczny, duchowy i oczywiście fizyczny. Cele, do których dążyłem i które miały dać nadzieję, zaczęły się wyczerpywać. Wszystko co już miało dać szczęście okazywało się nie tym, czego szukałem.

W tych chwilach zmagania wzlotów i upadków w pewnym momencie pojawiła się albo dostrzegłem w moim życiu Maryję, która chciała się mną zaopiekować. W czasie, gdy po którymś ślubowaniu abstynencji nie piłem, zmarł mój sąsiad - bardzo pobożny człowiek, był on zelatorem różańca w naszej parafii. Po jego śmierci zaproponowano mi modlitwę różańcową i bycie w kole różańcowym. Przyjąłem tą modlitwę wtedy po prostu zwyczajnie, przyjąłem może nie z zachwytem i nadzieją, ale zacząłem codziennie odmawiać dziesiątek różańca. Na tamten czas było to bardzo dobre, bo dawało doping do odpowiedzialnej modlitwy, która ma być odmówiona oraz sobie myślę, że to taki pierwszy krok do tego, aby do czegoś się dostosować, co nie jest moim pomysłem i dziś wiem, że to pomysł Maryi. Maryja w moim życiu? Lubiłem słuchać świadectw o Jej wstawiennictwach, choćby o opiece nad naszym narodem, o uzdrowieniach przez Jej wstawiennictwo czy opiece nad ubogimi, grzesznymi, odrzuconymi. Wracanie do życia po skończeniu z pić okazało się dużo trudniejsze niż samo odłożenie alkoholu. Odmawiałem swój dziesiątek i w miarę możliwości robiłem swoje. Chodziłem do pracy, starałem się zarabiać na utrzymanie rodziny. Praca była trudnym tematem w tamtym czasie, bo jak wcześniej wspomniałem byłem wypalony i zniechęcony do wszystkiego, a zwłaszcza do pracy, która prawie nigdy w życiu nie dawała mi spełnienia, ani pod tym względem co robiłem, ani dla kogo, ani pod względem zarobków. Był to temat bolesny dla mnie, bo jak pracowałem u kogoś to zawsze nie było stabilności, której oczekiwałem, zarobków, świadczeń itd. I to, co robiłem zawsze było czymś przejściowym, w oczekiwaniu na to, że ustabilizuje się w czymś co będzie co najmniej przeciętne ale stałe. Odmawianie różańca uczyło mnie w sposób bym powiedział ukryty pewnej regularności, zwyczajności małej ale pewnej. Prosta modlitwa dla prostego człowieka, był to początek godzenia się ze sobą, z ludźmi i rzeczywistością, która mnie otacza.

Zacząłem podświadomie przeczuwać, ale nauczyło mnie już wtedy wcześniejsze doświadczenie, że to do czego chcę dążyć albo jest iluzją, albo to już mam i nie trzeba nigdzie za tym biec, tego szukać. Na pewno iluzją w moim życiu było szukanie rzeczy idealnych, tak że wszystko się będzie nareszcie układać i udawać, że będę czuł szczęście, spełnienie, zadowolenie z siebie, z moich bliskich, z pracy, z sukcesów osobistych. Iluzją w moim życiu było, że muszę się zmienić, aby mnie Bóg pokochał, abym sam siebie pokochał, abym zasługiwał na okruszki miłości. Iluzją też było, że zmienię się sam, że zmieni się moja żona wg moich pragnień, że dzieci będą inne, grzeczne, zdolne, posłuszne itd.

Maryja i jej dziesiątek różańca uczył mnie patrzeć na to, co jest i kim jestem i to po prostu przyjmować, tak jak Ona. Jej życie nie było spektakularne z poklaskiem i sukcesami. Sam Jej przykład z życia dużo mi dawał, w sensie przyjmowanie trudności i niedogodności życiowych. Na rozum, choć jeszcze nie sercem zacząłem mieć świadomość, że nie pograżam się tylko zaczynam zmierzać we właściwym kierunku. Jak przychodziłem w niedziele na Msze Św., mówiłem sobie i Bogu, że widocznie tak ma być i godzę się na to i postaram się wytrwać. A było mi bardzo, ale to bardzo ciężko. I miałem już czasem przekonanie, że tak

moje życie ma wyglądać: brak smaku, brak radości, ale robię to, co do mnie należy. Godziłem się na taką perspektywę. Czasem sobie myślałem, że przecież Boże ślubowałem Ci, że nie będę pił do końca życia, a to tak ma wyglądać. Nie podobało mi się to, ale nie miałem odwagi o tym Bogu powiedzieć bo się bałem, po prostu starałem się z tym godzić i to wytrzymać. Jak wchodziłem do Kościoła to tak mnie coś stamtąd wyrzucało i czułem, że zaraz zemdleje jak zaraz stąd nie wyjdę i myślałem sobie najwyżej zaraz umrę, nie wyjdę, zostanę, przecież jestem we właściwym miejscu. Wtedy to uczucie mijało, zostawałem, a jak już przychodziłem następnym razem było to samo. Takie doświadczenia uczyły mnie tego, że kiedyś trzeba będzie w życiu postawić wszystko na jedną kartę i wybrać Boga, rzucić się mu w ramiona. Oczywiście wtedy o tym nie wiedziałem.

Wracając do Maryi to dziś wiem, że Ona zawsze prowadzi do swojego Syna. Przecież Ona wybrała i dała mi moją małżonkę i Ona chciała żebym w sobie odkrył człowieka, a w nas małżeństwo z prawdziwego zdarzenia. A moje doświadczenie bezsilności przygotowało mnie do odważnych decyzji życiowych, do decyzji, których pragnął Bóg i pragnąłem ja sam, choć wtedy nie sądziłem, że można znaleźć albo doświadczyć tego, że tylko Bóg jest zaspokojeniem wszelkich moich pragnień, dążeń i tęsknot. Pan Bóg wysłuchał mojej modlitwy, wysłuchał też modlitwy mojej żony. Stało się, nie piłem, stawałem się człowiekiem, robiłem swoje, ale nie byłem gotowy do przyjęcia tych darów Bożych. Byłem jak Zachariasz, który został wysłuchany w swoich prośbach o syna. Gdy to otrzymał, zaczął się tłumaczyć, że jest „już stary, jego żona jest w podeszłym wieku”. Modląc się i próbując być trzeźwy naprawdę nie wierzyłem, że cokolwiek może się zmienić, tak byłem przyzwyczajony do swojego bagienka i tak naprawdę bałem się wpuścić Boga do swojego życia. Co innego moja żona, ona bardzo cieszyła się z tego, że wracam do życia, z rozmów z nią wynika, że dziękowała. Cieszyła się z tego domu w naszej rodzinie, ja jednak w swojej starości i przyzwyczajeniach do swoich oczekiwań, byłem zamknięty na nowość, na to, co będzie niespodziewane, świeże, radosne. Zachariaszowi Bóg odebrał mowę i można powiedzieć, że mnie też, bo straciłem właśnie to wszystko, co miałem do powiedzenia w życiu straciłem przede wszystkim swoją wizję na życie, wydarzenia, po prostu na przyszłość. A żona przeżywała swoją radość razem z Maryją, jak Elżbieta i wiedziała, że to Jezus jest sprawcą tego dobra w naszym życiu. A więc Maryja jest dla mnie wzorem prostoty, przyjmowania tego co Bóg daje każdego dnia, aby rozpoznawać Boga w wydarzeniach dnia codziennego.

Moja żona w tamtym czasie z dziećmi, chodziła na pielgrzymki do Częstochowy! Najpierw chodziła prosić o dobre życie dla nas, a później dziękować. Zostawałem w tym czasie w domu sam, chodziłem do pracy, dbałem o dom i miałem więcej czasu, aby przemyśleć pewne rzeczy. Był to zawsze czas, w którym próbowałem więcej się pomodlić, próbowałem czytać Pismo Święte, samotnie spędzane wieczory były moim zdaniem dobrą okazją na to, aby próbować zbliżyć się do Pana Boga. Bo w tamtym czasie takie myśli pojawiały się w mojej głowie i takie pragnienie pojawiało się w moim sercu. Nie wiedziałem w sumie jak się za to zabrać. Pamiętam, że po którymś wyjściu moich najbliższych pełen zapału i dobrej nadziei wziąłem Pismo Święte i chciałem zacząć nareszcie czytać i co się okazało nie dam rady tego robić, nie potrafię, nie mam zupełnie siły, aby to zrobić. Po kolejnych próbach, które okazywały się fiaskiem coraz bardziej przestawałem rozumieć co się dzieje. Myślałem przecież, to dobra rzecz czytać Pismo Święte, dlaczego Bóg mi nie

pomoże, dlaczego ciągle przegrywam? Dlaczego? Czemu? Nic nie rozumiem. Podobnie było z modlitwą. Chciałem się regularnie modlić i podobnie jak z czytaniem nic mi nie wychodziło. Dlaczego nic co chciałbym nie potrafię? Najbardziej dziwiło mnie, że nie potrafię się modlić, czytać Słowa Bożego. Dziwiło i nurtowało mnie też, że tak szybko wpadam w grzechy, choć z całego serca chcę stawać się coraz lepszym człowiekiem. Nic nie rozumiałem, ale dziesiątek różańca dany mi przez Maryję trwał ciągle i niezmiennie i ten dziesiątek był jedyną rzeczą, którą potrafiłem. Życie zewnętrze zaczęło się układać, niczego nie brakowało. Relacje z bliskimi zaczęły się poprawiać. Wszystko zdaje się zmierzało w dobrym kierunku, choć wiele rzeczy się nie udawało. Ja nie wiedziałem co się dzieje, próbowałem ciągle coś poprawić, bardziej dbać. Skutki moich wysiłków były po prostu odwrotne. Dużo porażek osobistych, dużo znaków zapytania i dziesiątek różańca, ciągły i nie zmienny. Zdawało mi się, że zamiast zyskiwać w życiu, wszystko wymyka się spod kontroli, czułem coraz większe obciążenie życiem, obowiązkami, sam się obciążałem, obwiniałem za przegrane, za puste obietnice, niedotrzymane postanowienia. Do tych znaków zapytania trwała ze mną samotność i lęk o to co będzie. I zostało mi, albo wrócić do picia, grzechów, albo iść za tymi wydarzeniami, które zamiast dodawać mi poczucie wartości coraz bardziej mnie degradowały.

O jak dobrze, że dzięki właśnie Maryi wytrwałem w tych trudnych chwilach. Jak dobrze, jak się cieszę dziś z tego, że pozwoliłem się przez to prowadzić. To było łamanie mojego dotychczasowego myślenia, schematów, które wydawały mi się być jedynymi sensownymi wyjściami z tej sytuacji. Strasznie się bałem, bo wydawało mi się, że kompletnie zawalam w życiu. Ale ta wizja poukładanego życia, uporządkowanych relacji, marzeń, pragnień, było moim pomysłem na życie, nie tyle też moim ale wymyślonym przez świat i ludzi. Była to też wizja życia wyniesionego ze szkoły, rodziny i także po części z kościoła. Maryja była tak blisko w tych trudnych chwilach, jak bardzo chciała mnie doprowadzić do Jezusa. Jak blisko jest dzisiaj, gdy przeżywam trudne chwile, gdy żyję w niepewności jutra i zagrożeniu życia. Nie mam wątpliwości, że Maryja jest ze mną, cały czas Ona dba o moją bliskość z PANEM. Matka, która działa w ukryciu, której jedynym celem jest przyprowadzanie swoich dzieci do Boga. Ona nigdy nie skupia na sobie uwagi, zawsze w cieniu. Chcąc opisać jej obecność musiałbym dużo pisać, jednak wspomnę tylko te chwile życia, w których doświadczałem jej obecności i pomocy. Wspomnę to o czym już pisałem, że pierwszym takim doświadczeniem był nasz ślub z Jadzią, potem przyjęcie modlitwy różańcowej, łaska małżeństwa, rodziny, prostego życia. Na pewno Ona jest tą, która wybłagała Boga o trzeźwość w naszej rodzinie. A teraz chciałbym podzielić się tym, że bycie przy Maryi zawsze jest udane zawsze pełne pokoju i ja jako człowiek, który nie doświadczył miłości ani bliskości swojej mamy, na ślepo chciałem się do Niej przybliżyć. Słuchając czy czytając o Maryjności, o tym jak ludzie święci trzymali się Maryi, po prostu ja też chciałem. Na pewno trudności życiowe skłaniały mnie do modlitwy różańcowej. Chciałem też wspomnieć, że na tym etapie musiałem się nauczyć albo sobie przypomnieć kolejność tajemnic różańcowych, bo ich nie znałem. Praktykując uczyłem się. Na początek do liczenia pozdrowień anielskich używałem palców. A że przeżywałem w swoim poranionym sercu dużo trudności to też coraz więcej odmawiałem różańca. Aż pewnego pięknego dnia usłyszałem albo przeczytałem o oddaniu się w niewolę miłości Maryi.

Czytając książeczkę św. Lidwika Gringnion de Monford, później będąc na rekolekcjach, , na których słuchałem doświadczeń i zachęt ludzi do bliskości z Maryją coraz bardziej dojrzałem do tej decyzji. Na jednej ze spowiedzi u mojego ówczesnego spowiednika i kierownika duchowego zrobiłem to, oddałem się Maryji na własność bez zastrzeżeń nie wiedząc co to dla mnie znaczy. Jedynie co wiedziałem to , że ONA zaprowadzi mnie do Boga. Jak już wspomniałem w moim życiu było wiele ubóstwa, życia po ludzku nie udanego, wiele ludzkich porażek, dużo niewiadomych i dojrzałem w tym podobieństwo do Niej. W moim sercu zaczął wybrzmiewać różaniec i pragnienie Boga. Widziałem też i zacząłem doświadczać albo odkrywać, że bliskość z Nią i Jezusem oznacza KRZYŻ i zacząłem ten KRZYŻ okrywać właśnie w tych porażkach, ubóstwie, bólu, niepewności właśnie w tym wszystkim co tak bardzo chciałem zmieniać i naprawiać. Im bardziej chciałem i powierzałem się Bogu przez Jej ręce, tym bardziej okrywałem w moim niby po ludzku przespanym życiu miłość, piękno i przede wszystkim pokój w sercu. Do Dziś trwam a właściwie trwamy z żoną w tym MAGNIFIKAT Maryji, który codziennie razem z żoną odmawiamy. Powierzając się Jej codziennie i oddając Jej na własność siebie i wszystko co posiadam, staję się coraz bardziej wolnym od tego, że cokolwiek muszę mieć prócz samego Boga. I coraz bardziej rozumiem, że moje życie nigdy Bogu się nie wymknęło spod kontroli. Maryja pojawia się, a właściwie daje o sobie znać gdy zagubiony w złudnych pragnieniach mojego serca potrzebuję wrócić do Boga.

V CYRENEJCZYK

Siedzę teraz i nie wiem czym się pobudzić. Może właśnie tym, że nie muszę znać następnego kroku, który wykonam, nie muszę wiedzieć co się wydarzy za chwilę, to lepiej zostawić mojemu Panu. On wie co dla mnie lepsze. Najpiękniejsza jest chwila obecna w zaufaniu Bogu. Jak ufam to się nie boję i jak żyję chwilą obecną to się też nie boję, bo nie można się bać tego co jest, można jedynie czuć lęk przed tym co nastąpi za chwilę.

Jestem człowiekiem, który przewiduje, myśli o różnych wariantach mojej przyszłości i próbuje się do nich przygotować. Jest to wielkie moje obciążenie jeśli tego nie próbuje zostawić. Dlatego doznawałem tak wielkich porażek, a właściwie to było dla mnie porażką? Właśnie to, że nie było tak jak sobie wymyśliłem. Może nawet chciałem dobrze ale po swojemu, może nawet chciałem to zostawić, ale na swoich warunkach. Nie potrafiłem wypuścić z rąk moich przekonań. Dziś o tym mówię, wtedy tego nie widziałem, miałem pewien plan na życie, a właściwie wizję ,że nareszcie będzie się lepiej układać , że nie trzeba będzie się martwić o pieniądze, że może właśnie finansowo będzie lepiej, że w ten sposób będę zyskiwał sobie szacunek u siebie i ludzi, że jak pójdę za Chrystusem będzie łatwiej, że będzie sielanka. Nic podobnego się nie stało, a teraz już bym tak nie chciał, bo wiem, że to bardzo mój pomysł na życie. Nie można połączyć chciwości, próżnej chwały i pychy z Chrystusem. „Królestwo Jego nie jest z tego świata”.

Pamiętam że kiedyś przyjechałem z pracy o 22.00 zmęczony sfrustrowany, bo nic nie zrobiłem, a właściwie zrobiłem tylko na sam koniec wszystko się rozsypało i nie zostało nic. Zrobiłem kolczyki złote bo byłem złotnikiem, a kiedy wykonałem ostatnią czynność kolczyki

się delikatnie mówiąc rozpadły, że trzeba było robić wszystko od początku. Ja zmęczony, uciemiężony, kolczyki zamówione na jutro i nic nie zostało i co tu zrobić. Nie pamiętam jak ta sytuacja dokładnie przebiegła z tym klientem, który to zamawiał. Dla niego pewnie nie było problemu, bo pewnie przełożyliśmy termin wykonania tej usługi. Dla mnie jednak była to wielka porażka, bo nie wykonałem zamówienia w terminie, muszę się tłumaczyć, przeprosić i prosić żeby to jakoś załatwić, a poza tym byłem przekonany, że jak próbuję iść w kierunku Pana Boga to przecież nie powinny mi się zdarzać takie rzeczy. A dlaczego nie? Dzięki takim sytuacjom, nad którymi nie miałem kontroli stawałem się mniejszy. To był czas, kiedy Bóg kwestionował moje myślenie, przekonania. Wydawało mi się że robię coś zgodnie z Jego wolą, a tu się okazywało, że się to nie udało.

I już w tym fragmencie pokazało się bardzo wiele moich przekonań np. że jak będę wypełniał Wolę Bożą to wszystko będzie kończyć się sukcesami. Właściwie w tym to ja sam byłem postawiony ponad Bogiem, bo chciałem i dotąd chcę Bogiem kierować. Szymon z Cyreny idąc ze swojego pola wraz z synami wykonywał dobrą robotę. Pracował na rodzinę, wychowywał swoich synów, pewnie przekazywał im to czego się sam nauczył. Jednak jego droga życia była inna niż chciał Chrystus.

Podobnie wtedy było ze mną, próbowałem lepiej żyć, starać być coraz lepszym mężem, ojcem, jednak moje drogi były dalekie od dróg Bożych. Dlatego wkroczenie Jezusa do mojego życia wiązało się z burzeniem moich planów, przekonań, rozumowań. Kolejnym przekonaniem był obraz Boga, którego najpierw traktowałem jak urząd do odpuszczania grzechów i przez to poprawiania mojego samopoczucia. Chociaż już doświadczyłem bezinteresownej miłości miłosiernej od Boga, jednak bardzo mocno miałem wpojone to, że trzeba na wszystko zasłużyć i że będę rozliczony ze swoich błędów. Oczywiście to przekonanie „odziedziczyłem” po swoich rodzicach zwłaszcza mamie, która jak już wspominałem szukała moich błędów, aby je wypomnieć czy przypomnieć. Było też wiele innych przekonań danych mi przez otoczenie np. aby tylko było zdrowie i wiele razy bałem się o jego utratę, bo wydawało mi się, że przeżywanie choroby czy słabości powoduje zawalenie się wszystkiego na czym buduję swoje poczucie bezpieczeństwa. Innym przekonaniem wyniesionym z domu było to żeby nikomu nie mówić o swoich trudnościach i nie okazywać swojej słabości. Tata mawiał „jest ci ciężko to się śmieję, a będzie cii lżej”. Wspominałem już pewnie, że nosiłem w sobie ciężki ładunek trzymania kontroli nad wszystkim. Ciężki ładunek, że muszę to załatwić sam, że jak poradzę sobie z tym zagmatwaniem w sobie może nareszcie zacznę żyć pełnią życia. Wielkim przekonaniem w tamtym czasie było to, że jestem człowiekiem wierzącym. „Gdyby wasza wiara była jak ziarnko gorczycy powiedzielibyście tej morwie wyrwij się i przesadź w morze a była by wam posłuszna”. Wiele razy próbowałem jakoś zaradzić swojemu zagmatwaniu wewnętrznemu, a jakoś nic się nie działo. Wiara nie polegała na chodzeniu do Kościoła, nawet przyjmowaniu Sakramentów Świętych. Ja to wszystko robiłem i nic nie rozumiałem.

Kiedy raz poszedłem do spowiedzi, wymieniłem oczywiście swoje grzechy spodziewałem się jakiejś długiej mądrej nauki odpowiedź była krótka, „brak wiary”. Ruszyło mnie to mocno, a właściwie zamiast dać ulgę dołożyło jeszcze do mojego ciężaru wewnętrznego. Wtedy pomyślałem: jak to? Właśnie dzięki temu spowiednikowi, a przede wszystkim Bogu była to przełomowa spowiedź w moim życiu. Jezus wkroczył powoli, ale zdecydowanie do świątyni mojego serca i wszystko wywracał z wielkim gniewem, ale to był

gniew miłości. Wywraçał „stoły bankierów”, abym nie miał czym płacić za miłość, abym przestał poprawiać sobie humor, że coś jeszcze mam przed Bogiem i że w jakiś sposób mogę czymś MU się odplacić. Nie miałem co Bogu dać, nie miałem jak przed NIM dobrze wypaść, nie miałem nic czym mógłbym MU odplacić, wynagrodzić za swoje grzechy. Nie zostawało już nic na moja obronę. Był to bardzo bolesny okres w moim życiu, nazwałbym to „praniem mózgu”, ale to nie do końca właściwe określenie, bardziej tu pasuje określenie, że upadał we mnie „bóg” mojego myślenia, rozumowania, wielki upadek dotychczasowego sposobu myślenia.

Kiedyś jadąc samochodem płakałem, nic nie rozumiejąc i miałem dwa wyjścia, wrócić do starych grzechów, nałogów albo zaufać Bogu. Jechałem i modliłem się a właściwie krzyczałem, choćbym wymiotował, choćby nie wiem co się działo: PANIE RÓB SWOJE. Jednak bez doświadczenia, poznawania sercem PANA byłoby to raczej niemożliwe. Bóg dając poczucie swojej miłości pociągał mnie do siebie dawał siły do podejmowania radykalnych decyzji. Żyłem w wielkim rozdarcu, z jednej strony Bóg z drugiej namnożone przyzwyczajenia, przekonania, najmocniejsze to te które odziedziczyłem od rodziców i jedyną mocą jaka może to zburzyć jest Bóg. Burzenie oczywistych oczywistości, tego, że właśnie tak ma być. I co się okazuje, że słabość swoich rodziców pomaga oderwać się od tego wszystkiego co tak w subtelny, niewidoczny sposób zniewala i ogranicza. Łatwiej jest zostawić coś co nie jest doskonałe, poukładane. A z Bogiem jest tak że, czy to piękne i szlachetne czy rozsypane, bolesne wszystko trzeba zostawić żeby nie zostało nic „nie zostanie z ciebie kamień na kamieniu, wszystko zostanie zburzone”. I Jak już wspomniałem, że dużo trudniej jest zakwestionować życie bardziej poukładane, porządne „46 lat budowano te świątynie, a TY chcesz ją zburzyć i w trzy dni ją odbudować, jakim prawem to czynisz ?” Różne, pytania budziły się w moim sercu i budzą do dziś, i nie dostawałem na nie odpowiedzi, bo odpowiedzi nie musi być.

Wracając do Cyrenejczyka to po prostu został złapany i przymuszony do czegoś co wydawało się na pierwszy rzut oka odrażające i mało atrakcyjne, czego zupełnie nie rozumiał. Podobieństwo moje do Szymona z Cyreny polega na tym, że zostawiałem powoli swoje plany na życie i wizje przyszłości, że robiłem to co mi się za bardzo nie podobało. A co najważniejsze byłem zdeterminowany, aby dać się poprowadzić. Miałem i mam MATKĘ Maryję. Mam Ojca i zawsze Go miałem i właściwie zacząłem odkrywać obecność Ojca w moim życiu, który zawsze czeka i przyjmuje z otwartymi ramionami, ale też bardzo zdecydowanie niszczy swoją zazdrosną miłością wszystko co jest przywiązaniem, grzechem czy bożkiem. Niszczy wszystko w czym próbuję pokładać nadzieję. Odkrywałem już Jezusa, który prowadzi do Ojca, który jest człowiekiem i prowadzi albo jest mną i idzie do Ojca. I zacząłem poznawać tę niesamowitą siłę miłości, między Ojcem i Synem jaką jest Duch Święty. Zacząłem być wciągany i przyjmowany do nowego otoczenia, zupełnie innego niż byłem do tej pory. Jednak siła moich przywiązań, czy przekonań zawsze odzywa się w moim sercu i próbuje mnie przeciągnąć na swoją stronę i to jest ta decydująca WALKA o mnie we mnie i właściwie jedynie liczy się w tej walce to, aby w każdej sytuacji wybierać i ufać Bogu, aby się mu całkowicie poddać.

A co do zmiany otoczenia, to zacząłem poznawać nowych ludzi, zacząłem poznawać ludzi, którzy pomagali i pomagają iść właściwą drogą.

Jakieś dwa lata od dnia ślubowania na całe życie, przyszedł do naszej parafii diakon o. Andrzej. Jak zobaczyłem go pierwszy raz, pomyślałem co ten diakon u nas robi, przecież za stary jak na diakona, coś tu się nie zgadza. Po za tym po prostu wkurzał mnie swym zachowaniem. Jakoś nie przypadł mi do gustu. Okazało się że, gra na gitarze i chce uczyć grać mojego syna. Po rozmowie z synem Dawid powiedział mu, że kiedyś grałem i że umiem. Na tamten czas nie grałem, nawet nie miałem gitary. Jak zawiozłem syna na lekcje gry do o. Andrzeja zgadaliśmy się, spróbowałem też coś pobrzdakać bo dawno nie miałem gitary w ręku. Tematem rozmowy było to, że chciał stworzyć zespół, który by grał muzykę religijną i chodziło mu o to czy byłbym skłonny grać piosenki o Bogu. Dla mnie nie było problemu i zaczęliśmy się częściej spotykać. Potem pojawił się temat utworzenia wspólnoty religijnej. Był to czas kiedy poszukiwałem mocno sensu życia i obydwie propozycje weszły w życie z moim udziałem. Co do grania to po krótkim czasie kupiłem gitarę, wracałem do grania po latach przerwy. Był to powrót do rzeczy, które dawno odłożyłem i myślałem że, nigdy do nich nie wrócę. Następnie kupiłem gitarę elektryczną. Z zakupem tej gitary było tak, najpierw pomyślałem że chciałbym mieć taką gitarę, ale nie za bardzo miałem pieniądze, bo się po prostu nie przelewało. Porozmawiałem z żoną i stwierdziliśmy, że trzeba poczekać, jednak z tym czekaniem u mnie było słabo, więc pomyślałem sobie, jak by tak udało się więcej zarobić to może by się udało. Nie był to dobry czas na zarabianie i dobrą sprzedaż, bo to nie był sezon, jednak moje pragnienia się spełniły. Powstał zespół, powstała też wspólnota. Czasem sobie myślę, że Pan Bóg dał mi tę gitarę na zachętę, jako przynętę. Z o. Andrzejem spotykaliśmy się częściej, było granie, były rozmowy. Były też spotkania wspólnoty, jednak nie za bardzo mi to odpowiadało, bo za dużo było rozmów o polityce, sytuacji w Kościele, o kondycji współczesnego człowieka. Miałem dziwne wrażenie, że to nie ma być tak, zresztą bardziej utożsamiałem się z ludźmi grzesznymi, słabymi, uwikłanymi i czasem miałem wrażenie, że mówią o mnie.

W moim odczuciu był tam podział na „my” i „oni”, „my” lepsi i reszta. Nie podobało mi się to, więc po rozmowie z Andrzejem powiedziałem o tym i spotkania się zmieniły. Dla mnie była też to nauka, że nie ma wspólnot idealnych. Jednak ta wspólnota pomogła mi się otworzyć na Boga i ludzi. Z o. Andrzejem nawiązała się relacja, a po pewnym czasie, kiedy Bóg zaczął wkraczać do mojego życia coraz mocniej, został on moim spowiednikiem i kierownikiem duchowym. To jemu mogłem opowiedzieć, wyznawać grzechy, bólesci i poranienia. To też dzięki niemu zacząłem wiele czytać, dobre książki, słuchać konferencji, kazań, które w tamtym czasie chłonałem z wielkim zapalem i gorliwością. O. Andrzej też pomagał przechodzić bardzo trudne chwile próby, oczyszczenia a czasem nawet chwile wściekłości i zawziętości diabła, o to że się wyrrywam spod jego władzy z jego sideł.

W międzyczasie trafiłem też do wspólnoty AA, która pomogła mi poznać ludzi z podobnym problemem jak ja. Dzięki AA poznałem 12 kroków, zacząłem się uczyć żyć bez alkoholu, omijać okazje do picia, nie nakręcać się, odpuszczać to czego nie mogę. Przez siedem lat też byliśmy w domowym kościele, gdzie uczyliśmy się razem modlić, rozmawiać z Jadzią pewnie o nauce rozmowy jeszcze napiszę więcej, bo to jak nauka modlitwy, nauka relacji zdrowych i powiedziałbym Bożych. Każda z tych wspólnot dała mi wiele dobrych rzeczy, doświadczyłem tam też wiele ciepła, przychylności, jednak jak już wcześniej powiedziałem nie ma wspólnot idealnych. Nie wszystko co proponuje wspólnota religijna jest dobre i dla mnie wiele razy musiałem czy musieliśmy się z Jadzią zмагаć co wybrać czy np.

propozycje wyjazdów wspólnoty czy zwykłe spokojne życie w domu i budowanie domu na wzór domu w Nazarecie. Doświadczyłem i ciągle doświadczam, że trzeba zawsze wybierać, rozeznawać, aby w niczym nie przesadzić, aby nawet dobra rzecz nie stała się ważniejsza od Pana Boga, aby bardziej nie pokochać JEGO darów niż JEGO samego. Zresztą BÓG sam prowokował i prowokuje wybory i nie cierpi niczego w czym mógłbym pokładać nadzieję.

Człowiekiem, który wiele pomógł mi w dokonywaniu wyborów był o. Stanisław, który przez jakieś 7 lat był moim spowiednikiem i towarzyszem duchowym. I zapamiętałem i nauczyłem się wybierać, czasem wbrew wszystkim, wybierać to co służy Bogu i mnie. Zawsze rzeczywistość czy relacja czy rekolekcje, czy cokolwiek nawet duchowość, dobroczynność, dawanie świadectwa wszystko co na pierwszy rzut oka jest dobre, nie musi służyć Bogu i nie zawsze wybór takich rzeczy jest właściwy. Wszystko to spotykałem i spotykam we wspólnotach religijnych jednak nauczyłem się wybierać i rozeznawać to, czego chce Bóg, a właściwie poddać się pod JEGO WŁADZĘ. O. Stanisław był tym który kwestionował to co na pierwszy rzut oka wydawało się dobre np. studia i bycie terapeutą. Z dzisiejszej perspektywy widzę, ile przez podjęcie tego zamiaru bym stracił, przede wszystkim relacje z żoną, dziećmi zwyczajne bycie dla bliskich, a przede wszystkim bycie dla Boga. Dziś mogę powiedzieć ile zyskałem na tych spotkaniach z o. Stanisławem, choć muszę powiedzieć, że to kwestionowanie mnie było bardzo bolesne i frustrujące. Jednak trzymałem się tego, wytrwałem i zobaczyłem że, dzięki o. Stanisławowi nie pobiegłem za błyskotkami religijnymi tylko zająłem się tym co najistotniejsze w moim życiu. Wiele razy po spotkaniu z nim czułem się odarty z pomysłów, a właściwie z iluzji, obolały, nawet zły, ale dziś widzę, że dzięki niemu nie dałem się urobić żadnej wspólnoty religijnej tylko mieć do wszystkiego zdrowe podejście. O. Stanisław też pomógł odrywać się od wpływu rodziców i zawsze mówił że mam swoje życie, którym trzeba się zająć. Twarda rzeczywistość dla mężczyzny i znów przychodzi mi na myśl Cyrenejczyk, który robił coś wbrew sobie, wbrew swoim myślom, przekonaniom, który szedł, niósł KRZYŻ, a właściwie, nie miał innego wyjścia. Pójście za Jezusem okazało się inne niż myślałem, ale nie jest to atrakcyjna po ludzku rzecz „kto chce iść za MNĄ niech weźmie swój krzyż, niech się zaprze samego siebie i niech MNIE naśladuje”. Dziś powiedziałbym, że trzeba prosić Boga aby mnie przymusił do tego co jest JEGO WOLĄ. Wiele razy dawałem Bogu przyzwolenie aby mnie łamał, kruszył i pociągał z sobą. I tak rzeczywiście było i jest bo żyłem świadomością, że sam z siebie tylko potrafię odchodzić i szukać łatwych rozwiązań. Aby żyć w nurcie Bożej łaski ciągle szukałem Boga i ludzi którzy mogliby mnie wesprzeć na tej drodze. Bardzo wiele pomogła mi duchowość ignacjańska, milczenie, cisza i słuchanie słowa Bożego każde rekolekcje były czasem, który dawał impuls do życia bardziej w przekonaniu, że PAN jest blisko i coraz bliżej, że mnie zna i chce być ze mną w bliskości i to coraz większej bliskości. I powiem tak: im większe przekonanie o bliskości Boga, tym więcej niewiadomych. To też było łamanie mojego przekonania, że będąc bliżej albo jakkolwiek to nazwać może tak, że im większa łaska tym mniej wiem, a więcej jestem po prostu.

Droga rekolekcji dla mnie była drogą tracenia siebie, tracenia obrazu Boga do którego nie chciałem się nigdy przywiązywać bo wiedziałem, a raczej przeczuwałem, że byłoby to zasufladkowanie Boga w moim małym mózdzku o wiele, bardzo wiele razy za małym, aby cokolwiek pojąć. Tracenie siebie jako człowieka, który myślał, że był taki dobry, pobożny czy wierny. Traciłem, tracę coraz bardziej kontrolę nad życiem na rzecz zawierzenia

Bogu w ciemno. Zaczęłam też doświadczać, że moje wybory bywają fatalne, że wybieram dary Boże jak np. duchowość zamiast samego Boga, że jestem słaby i grzeszny. Te słabości i poranienia są częścią mojego życia, są częścią mnie. I tu dopiero zaczęła się pojawiać DOBRA NOWINA REALNA DO BÓLU, ja grzesznik, zdrajca i kochający MNIE GÓG bezinteresownie. Kolejne badania intelektu, który dzieli na kategorie, nazywa wszystko, docieka, chce wiedzieć, ocenia, osądza, krytykuje. Bóg jest inny, Bóg przyjmuje i uczy przyjmować realnie tak jak jest. I zacząłem wierzyć w realnego Boga w realnym życiu.

W tych zmaganiach aby godzić się z rzeczywistością i sobą bardzo pomaga mi o. Jerzy. Kapłan który sam żyje tym co ja, który mówi też o swoim doświadczeniu. Z o. Jerzym mogę rozmawiać i dzielić się swoją słabością że w ogóle nic nie muszę i nic mi się nie należy, że najlepiej być pustym dla Boga aby to ON mógł tę pustkę wypełniać. Z o. Jerzym odkrywam w sobie te najgłębsze pragnienia serca, które bywają grzeszne, bardzo grzeszne, ale też czyste pragnienie Boga w głębi serca. Odkrywam też w sobie, że tak mało pytam kogokolwiek obok siebie, co czuje, jak mu się żyje ze mną, co potrzebuje, czy czuje się kochany. A przede wszystkim zacząłem pytać Boga co czuje, czy czuje się kochany, czy mu jest ze mną dobrze. Czasem doświadczam tej totalnej straty siebie, że przestaje mnie interesować czy wygrałem czy przegrałem, czy mi dobrze, czy ciężko, czy będę zdrowy czy chory, interesuje mnie wtedy tylko Chrystus i Chrystus w bliźnim. To pewnie jest ta ostatnia prosta w moim biegu zresztą bardzo długa, ale ostatnia, abym mógł stracić wszystko łącznie z życiem byleby pozyskać Chrystusa.

Jest tylko jedno „ale” to, że zawsze próbuję mieć inny plan na dzień niż chciałby Chrystus i jak Cyrenejczyk zostaje przymuszony poprzez cierpienie, łamanie mnie ciężarem krzyża aby godzić się z WOLĄ BOŻĄ, która jest właśnie KRZYŻEM. KRZYŻEM, który odstrasza, poniża, łamie, sprawia ból, ale po czasie staje się słodkim jarzmem.

O PANIE jak często próbuję iść własną drogą, im dłużej żyję tym bardziej i wyraźniej to widzę. Złam mnie proszę i przymuś do tego co jest w TWOIM ZAMYŚLE dla mnie, a przede wszystkim dla Ciebie najlepsze.

VI WERONIKA

Kiedyś usłyszałem o Św. Teresie od dzieciątka Jezus, poruszyła mnie bardzo mocno zwykłość jej życia i uświęcanie się przez normalne, proste wypełnianie swoich obowiązków. Obruszyłem się, bo ciągnęło mnie do rzeczy powiedziałbym nadzwyczajnych tzn. poznawanie Boga zmysłami, rozumem. Po doświadczeniu obecności Jezusa zacząłem pragnąć takich doświadczeń, uniesień emocjonalnych, uczuciowych, dlatego zwykłe życie nie było dla mnie czymś atrakcyjnym. Chciałem być apostołem, pomagać innym w sposób spektakularny, być podziwianym. Natomiast w zwykłym, szarym życiu raczej nikt nie chwali, wszystko co się robi to zaspokajanie potrzeb innych, praca na chleb codzienny. Modlitwa wytrwała w ukryciu. Robienie tego co do mnie należy ,bez poklasku, nawet z pewną dozą nieużyteczności. „Słudzy nieużyteczni jesteśmy, bo wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać”.

Chciałem w tym miejscu podziękować Bogu za moją żonę Jadzie, wielką miłośniczkę zwykłych, prostych czynności domowych. Zawsze Jadzia była tym hamulcem dla mnie, abym nie uciekł z domu i nie zaczął nawracać innych. W czasie poszukiwań spełnienia się jako człowiek musiałem mieć wielkie wsparcie, aby nigdzie nie uciec z domu, który stawał się miejscem nauki życia. Była to i jest nauka poprzez modlitwę i pracę. Ciężka praca i wytrwała modlitwa, obecność na własnym miejscu. Ja oczywiście miałem i miewam pragnienie wielkości, sukcesu religijnego, apostołskiego sukcesu w poszukiwaniu Boga. Tego oczywiście nie da się połączyć. Jezus o takich połączeniach mówi „Zejdź mi z oczu szatanie, bo nie mówisz o tym, co Boskie, ale o tym co ludzkie”. Poszukiwanie Boga zawsze wiąże się z doświadczeniem swojej porażki, aby Bóg mógł zaistnieć jako ktoś większy ode mnie. Moja żona przez okres picia i zawalenie swoich obowiązków nie mogła się doczekać kiedy nareszcie będę w domu i przejmę jej obowiązki. Przez moją nieobecność w domu musiała się zajmować rzeczami, które do mnie należały. Były to zwykłe prace domowe, ale też zarabianie na życie i wychowanie dzieci. Ja jako filozof, myśliciel chciałem być biznesmenem, dobrze zarabiać, utrzymywać rodzinę albo raczej jej udzielać ze swego, jeździć dobrym autem i być szanowanym mężem i tatą, albo nawet panem i władcą, któremu trzeba być za to wdzięcznym. A prawda była taka, że na marzeniu i planach się kończyło, bo nie umiałem normalnie żyć, nie umiałem też konsekwentnie pracować i zarabiać na chleb.

Już wcześniej wspominałem, że praca w moim życiu była dla mnie jako mężczyzny bardzo trudnym tematem, bo jakoś nie mogłem zarabiać na utrzymanie rodziny, przeważnie lepiej to szło mojej żonie. Przez taką sytuację czułem się zdołowany i nieużyteczny. Wiele razy myślałem, że chciałbym po prostu przyjść zmęczony z pracy jak zwykły facet, zwyczajnie zarobić na utrzymanie rodziny. Próbowiałem szukać co by było dla mnie odpowiednie. Wiele lat pracowaliśmy z Jadzią przy pantoflach w domu, były z tego małe pieniądze i właściwie sprzedaż najlepiej szła jak budowaliśmy dom. Wiele wyrzeczeń, nawet nieprzespanych nocy, ale można było coś odłożyć i to właściwie był najlepszy dochód na budowę domu. Wspominałem już, że to był dobry dla mnie czas. Byłem zajęty budową, bywałem bardzo zmęczony, ale było twórczo, bo powstawał dom. Jako mężczyzna w tamtym czasie umiałem pracować, pomagać na budowie, dopilnować wszystkiego, a przede wszystkim potrafiłem zaplanować co, kiedy, jak się da? Czułem się rzeczywiście w tym jak ryba w wodzie, jak mężczyzna, który coś tworzy. Udało się przeprowadzić w krótkim czasie, minęła też z upływem czasu motywacja do życia, do pracy, właściwie to pragnąłem jeszcze kupić dobry samochód, a później żyć lekko, na luzie. Nigdy to się nie udało, gdy tylko próbowałem się urządzić, zabezpieczyć, zawsze PAN BÓG burzył to wszystko w czym pokładałem nadzieję, najczęściej bywały to po prostu pieniądze. Nie było samochodu, ani błogiego odpoczynku w dostatku. Zaczęły się trudności, oczywiście piłem coraz więcej, więc z pracą było coraz gorzej, po prostu nie dbałem wystarczająco, aby utrzymać rodzinę. Jak przestałem pić moja kondycja była bardzo słaba zarówno ta przyziemna, fizyczna jak i duchowa. Byłem tak słaby, że skoszenie trawnika koło domu było wielkim wyzwaniem. Byłem słaby i zniechęcony do wszystkiego, a miałem wtedy dopiero 32 lata, więc byłem młody i teoretycznie całe życie przede mną.

Wspomnę też czas kiedy pracowałem jako złotnik i mieliśmy na spółkę z bratem zakład złotniczy, jednak mało pracowaliśmy razem, bo za bardzo nie było co robić, więc bywał czas, że brat prowadził zakład sam, a ja robiłem co innego, później zmiana. Dla dwóch

było roboty za mało. Więc bycie „panem” złotnikiem też nie wypaliło. Potem jeszcze próbowałem sam prowadzić sprzedaż biżuterii, aby było lepiej, niestety miejsce i wspomnienia z picia nie sprzyjały rozwojowi tej pracy. Poza tym patrząc na to dzisiaj uważam, że nie byłem gotowy, aby prowadzić swoją działalność, bo brakowało mi właśnie motywacji, ale też zwykłej samodyscypliny. Był moment jeszcze zrywu w tym temacie. Postanowiłem wyremontować lokal i spróbować zacząć inaczej. Pamiętam zamówiłem meble do sklepu w sobotę. Od poniedziałku miałem zacząć remont, a w niedzielę złamałem nogę. Wszystko się odłożyło w czasie. Zrobiłem remont, ale po krótkim czasie i tak zamknąłem ten biznes, bo czułem że to nie dla mnie.

Zacząłem szukać innej pracy nie w zawodzie, pracy zwyczajnej, stałej. Trudno było znaleźć, próbowałem różnych rzeczy i nic. Pamiętam, że kroilem kurczaki i po kilku dniach ręce mi spuchły, zwyczajnie nie wytrzymały i koniec. Próbowałem nawet u kamieniarza, który mi powiedział, że tu nie dam rady, bo jestem za słaby, że powinienem „myśleć” a nie pracować fizycznie. Pół roku bez pracy, ciągle szukanie i nic, zwłaszcza, że to zamknięcie zakładu złotniczego odbierałem jako wezwanie Boga do wyjścia z „ziemi rodzinnej” do ziemi, którą wskaże. Było to już wyjście na wezwanie Boga, chciałem mu się dać przeprowadzić. Moje poszukiwania były bezowocne, jednak wierzyliśmy, że w swoim czasie PAN BÓG da pracę. Te pół roku w domu były jak wielkie rekolekcje i nauka rozmowy, bycia razem z Jadzią. Bardzo dobrze wspominamy ten czas, bo byliśmy razem. Pracowaliśmy razem w domu, oczywiście próbowałem robić zwykłe rzeczy, którymi w domu powinien się zająć mężczyzna. Modliliśmy się razem, ale przede wszystkim byliśmy razem, byłem w domu, albo uczyłem się być w domu. Zobaczyłem też jak wygląda życie domowe od rana do wieczora. Wyjście i przyjście dzieci ze szkoły, sprzątanie, gotowanie, porządki koło domu, przygotowanie opału na zimę. Kiedy możliwości się już wyczerpały, kiedy zacząłem wątpić, że cokolwiek znajdę, pojawiła się oferta pracy w pralni. Na początek pomyślałem, że nie za bardzo, ale poszedłem i mnie przyjęli, ubezpieczenie, niezła stawka i zostałem kierowcą w pralni. Nie mogę sobie przypisać, że dostałem tę pracę dzięki sobie, wcale nie miałem ochoty tam jechać, bo okropnie się czułem, od rana strasznie bolała mnie głowa i na niczym mi nie zależało. Jednak odpuściłem ten temat i proszę jest praca. Jak bardzo można przeszkadzać BOGU swoim działaniem, wtedy się przekonałem. Zostawiłem i pracę daje PAN i tak ON jest, pomaga ubogim, słabym, choć nie za bardzo chciałem taki być, bo kto chce być ubogi i słaby.

Pracowałem tam 7 lat, ciężka robota, noszenie i wożenie pościeli po hotelach i pensjonatach, jak już wspomniałem ubezpieczenie i stała umowa. Nareszcie coś stałego, normalnego, umiem jeździć samochodem, nawet lubię i trzeba ogarnąć miejsca, do których trzeba jeździć. Jak już poznałem nazwy hoteli, domów i to gdzie się znajdują, wkręciłem się w odpowiedni rytm tej pracy. Rano wstawiałem, żona robiła mi kanapki, jechałem do pralni. Potem zaczynało się kursowanie, noszenie, przywożenie, rozwożenie, przeważnie byłem sam w samochodzie. Miałem czas aby czegoś posłuchać, przeważnie słuchałem konferencji czy kazań, ale też religijnej muzyki. Jak nosiłem więcej prania, a bywało, że trwało to nawet do godziny, odmawiałem drogę krzyżową, rozmyślałem, rozważałem z czasem, po prostu nieśliśmy z Jezusem ciężar krzyża. Wpadłem w rytm drogi, która nie musi być koniecznie lekka i usłana różami, albo właśnie usłana różami, bo ten krzew ma piękne kwiaty, ale też kolce. Miałem czas w miarę, spokój, czasem schody na pierwsze piętro, czasem do piwnicy.

A więc były góry na które trzeba było wchodzić z ciężarem. Rozwahałem, ale też niosłem. No i oczywiście odmawiałem różaniec, dużo różańca, rytm Zdrowaś Maryjo działał w sercu. Czasem budziłem się w nocy i w półśnie odmawiałem różaniec, właściwie to moje serce odmawiało różaniec. Teraz ten różaniec przerodził się w modlitwę Jezusową, każdy oddech to imię JEZUS. I znowu chce przypomnieć o Maryi, która nigdy nie skupia na sobie, tylko zawsze wskazuje na Jezusa i prowadzi do NIEGO.

Praca w pralni nauczyła mnie przede wszystkim posłuszeństwa, bo musiałem być posłuszny szefowej, która nie była łatwą osobą. Nauczyła mnie też systematyczności i konsekwencji, a więc samodyscypliny, którą jak już wcześniej mówiłem straciłem. Po prostu PAN BÓG wydobywał ze mnie to co straciłem jak piłem, uczył mnie wysiłku w życiu. Pamiętam też takie sytuacje, że uczyłem się odmawiać sobie różnych rzeczy, bo z tej pracy starczało na styk na utrzymanie rodziny. Trzeba było np. odmówić sobie drożdżówki, czy czegoś słodkiego tylko dlatego, aby zaoszczędzić. Czasami coś kupiłem, albo dostałem i woziłem to do wieczora, aby przywieźć do domu i podzielić się z najbliższymi. Dodatkowo przejmowałem od Jadzi obowiązki w domu. Chyba najważniejsze było, aby jako mąż i ojciec zacząć wspólnie z żoną wychowywać dzieci. Zacząłem być tym, który stawia granice i ich pilnuje. Nie za bardzo to się moim dzieciom, a zwłaszcza córce, podobało, bo tata zaczął wymagać. Przecież łatwiej było na wszystko pozwolić, wtedy wszyscy zadowoleni, nawet takiego ojca pochwalą, ale niestety skutek jest odwrotny. Przez pobłażanie dzieciom rodzice tracą u nich szacunek i uczą się samowolki. Ja już to przerabiałem i wiem jak trudno jest wracać do szarej, twardej rzeczywistości. Dzięki pracy w pralni zacząłem żyć w tym miejscu, którym byłem i wreszcie zacząłem być pokorny czyli poddany innym, poddany Bogu i poddany wydarzeniom i rzeczywistości, która mnie otaczała.

Uczyliśmy się też w tym czasie rozmawiać z żoną, a właściwie siebie słuchać. Ile delikatności i czasu trzeba, aby kobieta otworzyła się wreszcie przed mężem i zaczęła mówić co czuje, co przeżywa, co ma tam głęboko w sercu. Zaczęły wychodzić z nas, a zwłaszcza z Jadzi, różne niewypowiedziane i zmagazynowane uczucia, wszystko to co przeżywała, co czuła jak piłem. Można śmiało powiedzieć, że zacząłem słyszeć właśnie to czego najbardziej się obawiałem i to co było dla mnie najbardziej upokarzające i niewygodne. Bo dobrze jest odkryć w sobie to, że byłem obojętny, albo nie wykonuje, tego co do mnie należy, a zupełnie inaczej usłyszeć to od osoby najbliższej. Wychodziło z nas wiele nagromadzonych uczuć, krzywd, jedne mniejsze, drugie większe, ale bez tego oczyszczenia tej kupy nieporozumień, zranień, uczuć, lęków nie da się zbudować, zdrowej relacji, bo każda relacja ma być zbudowana na prawdzie, na odkryciu tego, co słabe i chore. Nie da się zbudować bliskości opartej na sile i nieomyślności, absolutnie nie. Prawdziwa bliskość to poznanie swoich słabości i ich przyjęcie, a więc jest oparta po prostu na miłosierdziu, na przekazywaniu tego co sami doświadczaliśmy od PANA BOGA.

Kiedy pewnego wieczoru zaczęliśmy rozmawiać i wyszły jakieś nieporozumienia, albo pretensje, nie pamiętam o co tak naprawdę chodziło. Pamiętam jaki był efekt trudnych rozmów i dochodzenia, do prawdy między nami. Po takiej sytuacji poszliśmy się modlić, nie razem lecz osobno, żona na górę, ja na dół. Kaliber rozmowy można powiedzieć był ciężkostrawny z obu stron. Kiedy się tak modliliśmy, nagle wstałem i chciałem iść do Jadzi, aby przeprosić, prosić o wybaczenie. W tej samej chwili ona zrobiła to samo i spotkaliśmy się w połowie drogi. Było to piękne spotkanie, oczyszczające, uwalniające, obydwaj

czuliśmy wielką radość, ale też wielką ulgę. Napisałem przed chwilą bardzo ważną rzecz, że zawsze trzeba się spotkać w połowie drogi. Jak nie jestem gotowy na ustępstwa, to po mnie, szara miłość nie polega na dawaniu nie wiadomo czego, ale raczej liczona jest tym z czego jestem w stanie zrezygnować dla drugiej osoby. Życie składa się z drobnych chwil, małych gestów, które jak się trafi okazja, a nie musi, wykonam, zrobię. Nasz dom stawał się powoli domem przez duże „D”. Miejscem, gdzie można kochać się wzajemnie miłością daną od PANA BOGA. „Miłujcie się wzajemnie tak jak Ja was umiłowałem”, mówi JEZUS w wieczniku.

Kiedyś myślałem, że umiem kochać, albo też bardzo chciałem i uczyłem się miłości, niestety moja miłość „wietrzała” i stawała się godna politowania i “traciła swój smak”. Dziś wiem i doświadczam, że jedyną przyczyną prawdziwej miłości jest sam Bóg. Ale to zbyt mało co napisałem przed chwilą, bo PAN BÓG jest miłością jako osoba jako Trójca Święta. Jedyne źródło miłości między Ojcem i Synem. Miłość wzajemna i żar przyciągania, czyli DUCH ŚWIĘTY. To ON przez zawładnięcie człowiekiem, czyli mną sam kocha prawdziwą, jedyną, autentyczną miłością.

Przychodził więc czas w moim życiu, że zacząłem też kwestionować, albo Słowo Boże zaczęło kwestionować miłość w naszej codzienności. Oczywiście to co się zaczęło dzieć w naszym domu, to tylko i wyłącznie dzieło Boga to ON nas zaczął uzdalniać do życia jak w Nazarecie i udzielił łaski, że się na to godziliśmy. I ta miłość polega na tym, aby najpierw dogłębnie poznać siebie. Bardzo gruntowne poznanie siebie, najpierw przez dokładne przyglądnięcie się sobie przy pomocy innych osób jak sponsor czy kierownik duchowy. Potem, co najważniejsze trzeba było i dalej trzeba pozwalać, aby sam Bóg przez swoje Słowo mógł obnażać prawdę o mnie. I dopiero wtedy mogę próbować kochać, ale właściwie jak skoro odkrywałem i odkrywam w sobie ten wielki brak miłości. To przede wszystkim ja potrzebuje przebaczenia i litości jako bardzo słabe i kruche arcydzieło Boga. Bez poznania siebie nie można autentycznie kochać ani budować autentycznej międzyosobowej relacji. Każda prawdziwa wspólnota pochodząca od Boga buduje na poznawaniu słabości najpierw swojej, potem słabości swojej ,a następnie i zawsze na poznawaniu słabości oczywiście swojej.

JEZUS w wieczniku przepowiedział najpierw JUDASZOWI i PIOTROWI i wszystkim ich brak miłości, ale oni nie chcieli w to wierzyć, zwłaszcza Piotr, który miał być liderem skały, tej nowej wspólnoty jaką jest Kościół. Nie można liderować, ani być ojcem, ani mężem, nie można być głową rodziny nie poznając siebie. Piotr poznał, że jest słabszy od innych, czyli co Bóg chce odstawiać fuszerkę? NIE!. Tylko przez słabszych BÓG kocha mocniej. Dziś jedynie co mogę robić to przyjmować bliźniego takim jaki jest, ale jak przyjmować, chciałbym powiedzieć ano tak, że Bóg mnie przyjmuje i jakby przyjmował mnie jako człowieka porządnego i zasługiwałbym na miłość, stałbym się anty znakiem JEZUSA. „Miłujcie się wzajemnie, tak jak Ja was umiłowałem” i JEZUS umył uczniom nogi. Ale czy ja próbuję umywać nogi swoim bliskim, czy obrzucam ich jeszcze błotem. Obmywać, usprawiedliwiać innych, tłumaczyć ich postępowanie na dobre, przebaczać, aż w końcu oddać swoje życie, aby moi bliscy zostali zbawieni. Właściwie miłość to oddanie swojego życia do dyspozycji Boga i ludzi i to jest esencja tego czym chciałem się podzielić. Jak już wspominałem o wieczniku to nie mogę nie napisać o rzeczy, która jest ponad tym

wszystkim, czyli o MSZY ŚWIĘTEJ, która właśnie jest uczcą ofiarną, gdzie JEZUS całkowicie oddaje się BOGU i LUDZIOM.

Wspomniałem już, że gdy zacząłem szukać Boga postanowiłem chodzić na MSZĘ ŚW. i tak jest do dzisiaj, jeśli tylko mam czas idziemy z Jadzią na Mszę Świętą. To właśnie na Eucharystii poznaje siebie poprzez SŁOWO BOŻE i JEZUS obmywa mnie z grzechów i karmi sobą. Jest tam wszystko czym podzieliłem się wcześniej. To na Eucharystii uczę się przyjmować trud życia, oczywiście patrzeć jak JEZUS przyjmuje za mnie i każdego człowieka straszliwą mękę krzyżową. Bywał czas, że bardzo trudno było mi znieść różne sytuacje w życiu, bywał też czas, że trudno mi było pogodzić się ze sobą czy ludźmi, którzy działali na moje uczucia. Wtedy przychodząc do Komunii Św. wyobrażałem sobie, że przyjmuje właśnie te osoby jako ciało CHRYSTUSA, jako wielki dar dla mnie z miłości. Eucharystia uczy trudnej miłości, miłości pochodzącej od CHRYSTUSA.

Po siedmiu latach pracy w pralni przyszedł czas, aby to zostawić, zresztą pracując tam przychodziły myśli, że nie jest to praca na zawsze, bo naprawdę trzeba było mieć dużo zdrowia i sił, aby nosić te tobołki. Więc myślałem jak długo wytrzyma to mój kręgosłup. Już pracując tam modliliśmy się z Jadzią o nową pracę. W tym czasie zacząłem też wracać do zawodu, a właściwie zacząłem dorabiać i robić spinki góralskie, bo każdy grosz się przydawał. Zacząłem też rozeznawać co bym mógł robić i co chciałbym robić, czym się zająć, do czego się nadaję. Ale też realnie stojąc na ziemi, jaki rozwinąć talent. Już wtedy mieliśmy piękny ogród koło domu i bardzo lubiliśmy pracować z Jadzią w ogrodzie i czasem przychodziło mi pragnienie, aby spróbować to robić dla innych za pieniądze. W trakcie pracy w pralni zrobiliśmy z synem ogród dla szefowej i wyszło dobrze. Było to raczej marzenie, nie miałem odwagi ani nie ośmielałem się BOGA o to prosić. Jednak kiedy w pralni powiedziano mi, że znajdą sobie nowego kierowcę, obracając się na pięcie po prostu poszedłem stamtąd i jadąc w samochodzie do domu miałem już plan co robić dalej. Już wcześniej kolega z pracy prosił mnie, abym zrobił mu ogród, ale nie było czasu, teraz czas się pojawił, więc mogłem to zrobić na spokojnie, zacząłem też robić spinki. Bałem się kolejnej porażki, więc prosiłem usilnie Boga, aby ta praca była JEGO pracą. I tak z błogosławieństwem Bożym bardzo powoli zaczęło się to rozwijać. Wszystko, każdy krok odbierałem jako dar Boga, a właśnie coraz bardziej przestawałem się martwić, bo to przecież nie moja firma, tylko firma „TATY” u którego pracujemy do dziś z Jadzią. Po drodze dostałem też dotacje i kupiłem trochę niezbędnego sprzętu do roboty i tak zupełnie na nowo z innym nastawieniem mam pracę, w której pracuje u TATY a Jadzia czasem pomaga. To właśnie BÓG - TATA najlepiej wie kiedy pracować, kiedy odpocząć, za co się brać. I tak powoli życie płynie bez fajerwerków, spokojnie, jedyne co zakłóca spokój to moje pożądlivości, które mówiły, że trzeba dużo robić i dużo zarabiać, bo różne rzeczy można kupić. Jednak PAN lepiej wie ile trzeba czego i to daje.

Jezu ile lęku musiałem przejść, aby Ci uwierzyć w to, że jesteś dobry i do dziś tak trudno w to wierzyć i Ci całkowicie zaufać.

Chcę też dodać, że wiele rekolekcji odprawiłem, że dużo rzeczy słuchałem, konferencji, kazań, w wielu też miejscach byłem. Cały czas chodziłem na mityngi AA, na których uczyłem się żyć. Przez ten czas starałem się też żyć w łasce uświęcającej, jak już wspomniałem wiele rzeczy robiłem, aby lepiej żyć. Jednak za najlepszego „nauczyciela” życia uważam MODLITWĘ systematyczną i wierną i CIĘŻKĄ PRACĘ.

VII. DRUGI UPADEK

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, wszystko szło dobrze, albo nawet bardzo dobrze. Wspomniałem już, że byłem i jestem bardzo zdolnym człowiekiem, a do tego grzecznym, poukładanym w swoim postępowaniu, myśleniu, konsekwencji. Moje starania, aby było wszystko dobrze zaczęły się już na początku szkoły, wtedy właściwie zacząłem to dostrzegać w swoim życiu. W związku z tym, że bardzo trudno było zadowolić moją mamę moje starania kończyły się niepowodzeniami, ale starałem się jak mogłem, starałem się aby być grzecznym i nie było ze mną kłopotu, aby wykonywać wszystko dobrze, poprawnie, żeby trudno było się do czegokolwiek przyczepić. W zerówce jak już zacząłem pisać i mieć zeszyty często przepisywałem kartki od początku, aby wszystko było zadowalające mnie, ale jak dziś odkrywam zadowalające moją mamę, żeby nie miała się do czego doczepić. Z czasem zacząłem za dużo wymagać od siebie i czepiać się siebie, aby było wszystko dobrze. A więc popełniając jakiś błąd w zeszycie wyrywałem kartkę, albo przepisywałem cały zeszyt od początku. Zapewniam teraz siebie, że to co piszę w tej książce nie zacznę pisać od początku i staram się, aby dopuszczać do siebie niedoskonałości, właściwie to cała książka jest o tym, aby przegrać i dopuścić do siebie Boga, aby mnie zbawił. W dodatku tata mówił, aby nie pokazywać po sobie, że z czymś sobie nie radzę. Chciałem też mieć w swoim życiu uporządkowany kąt, w którym mógłbym czuć się w porządku, to dawało mi poczucie bezpieczeństwa i poczucie harmonii i jakiegoś odpoczynku, w którym jest wszystko ogarnięte i nikt się nie doczepi. To sprzątałem swój pokój i sprzątałem też czysto dom, bo przez to uporządkowanie czegokolwiek miałem poczucie ulgi, że nie trzeba coś robić i porządkować i tak w kółko. Później ten perfekcjonizm chodził i chodzi do dziś ze mną i psuje mi radość życia i psuł wszystko w moim życiu.

Potem czas na sport. Jak już miałem świadomość, że trzeba by było spróbować czy się do czegoś nadaję, zacząłem na siebie narzucać indywidualne treningi, które jak się dziś okazuje sprawiły, że mięśnie i ścięgna nie wytrzymały. Gdyby to mój trener przeczytał to by się zdziwił, bo on też dorzucał do tego trochę. Jak na przykład pojechałem na obóz to dostawałem dodatkowy spis zajęć i go wykonywałem. Pod koniec obozu, kiedy chłopaki zaczęli być silniejsi, szybsi - ja odwrotnie stawałem się przemęczonym wrakiem. Nie muszę już wspominać jak to się skończyło: buntem, odpuszczeniem wszystkiego, papierosami, alkoholem, ogólnie totalnym zniechęceniem. W dodatku czułem się do niczego, przegrany, zawiedziony. Nikt nie wiedział co mam w środku w swoim sercu, nawet ja sam, bo to mnie nie interesowało, myślałem że swoim wysiłkiem, zaangażowaniem jestem w stanie osiągnąć wszystko. Jednak zanim coś zacząłem, byłem już zmęczony planowaniem, przemyśleniami, aby wszystko wykonać właściwie.

Wspomniałem już o byciu grzecznym i poprawnym we wszystkim. I tak przepadły studia, praca, o której już dużo wspominałem. Przepadła trzeźwość, spokojne życie rodzinne. Ale po tym wszystkim pojawiła się szansa na uporządkowanie i właściwie to uporządkowanie przyszło. Przyszło uporządkowanie wraz z wkroczeniem Boga w moje życie. Jak powiedział O. Andrzej "Stałem się tytanem w pracy nad sobą". Zacząłem być w

tym dobry i może nawet jestem. Dużo pracy wkładałem, aby poznać siebie, poznać Boga, aby uczyć się nowego życia. Z wielu rzeczy korzystałem, trwałem i trwam w modlitwie, słuchaniu Słowa Bożego. I jak najbardziej starałem się trwać w dobrych uczynkach. Wychowywaliśmy dzieci, rozmawialiśmy i rozmawiamy ze sobą w małżeństwie, dbałem o swoją trzeźwość chodząc na meetingi AA. I co właściwie z tego wynika, że do niczego nie można się przyczepić. Stałem się „kimś” w swoich oczach, stawałem się „kimś” w oczach swoich bliskich i to zaczęło być wykładnikiem czy moja droga, którą idę jest właściwa. Wydawało mi się, że jest dobrze, czułem nawet spełnienie w swoim sercu, które dziś nazwałbym samozadowoleniem. Pomyślałem, że nareszcie moje życie jest uporządkowane, ogarnięte, a co nie ogarnięte to przyjęte jako KRZYŻ. Robota ze sobą skończona pewnie tak, ale tylko po ludzku, w ludzkim rozumieniu spraw Bożych i życia duchowego. Tu mogłem dojść z własnej inicjatywy, to mogłem osiągnąć swoim wysiłkiem, ale czy wtedy uważałem, że moje wybory mogą być fatalne, że jestem kłamcą, że mogę siebie oszukiwać, że siebie uważałem za kogoś lepszego niż jestem? Wtedy tego nie widziałem, bo myślałem że moje rany, kompleksy są wyleczone, uzdrowione, że moje uczucia są zdrowe i że mogę tak już dożyć życia na tym świecie. Wtedy bym powiedział, że wszystko jest na najlepszej drodze nie spodziewając się już niczego co by jeszcze mogło mnie zaskoczyć w życiu w ogóle a zwłaszcza w życiu duchowym. I pewnie to wszystko o czym już pisałem było dla mnie bardzo potrzebne.

Oczywiście jak każde ludzkie zadowolenie tak i też zadowolenie z dobrego życia zaczęło mijać. Zamiast zadowolenia z rzeczy duchowych zaczęły się pojawiać okresy kryzysu w moim życiu, które zupełnie nie miały logicznego wytłumaczenia. Głową i rozumem wydawało się, że jest wszystko w porządku jednak szybko przekonywałem się, że to co wydawało się wyleczone, przepracowane zaczęło wracać z większą siłą i nie za bardzo mogłem coś na to poradzić. I nic za bardzo nie rozumiałem, zacząłem też poznawać jak bardzo ranię Jezusa swoimi grzechami. Jak bardzo ranię siebie swoimi kompleksami, brakiem miłości. Miałem wrażenie, że mam w sobie nieodkrytą prawdę o sobie i o Bogu. I powoli Bóg pozwalał abym zaczął dochodzić do tego co mam naprawdę w sercu. Na początek poszły kompleksy. Wydawało mi się, że jak mogę ranić Jezusa swoimi kompleksami, swoim poczuciem niższości. Nie rozumiałem tego jak raniąc siebie mogę ranić Jezusa, że dokładać sobie mogę, że mi wolno. **ŻADNĄ MIARĄ NIE WOLNO, BO TO GRZECH.** Zacząłem bardzo dogłębnie rozumieć, albo mieć wewnętrzne przekonanie, że aby kochać innych trzeba pokochać siebie. Pokochać siebie za darmo miłością Jezusową, patrzeć na siebie jak patrzy na mnie Jezus. Był taki czas, może to był cały rok, kiedy intensywnie i dogłębnie kontemplowałem wzrok Jezusa, który patrzy na mnie. Wzrok Jezusa, który patrzy na mnie zwłaszcza w czasie swojej straszliwej męki. Wzrok, który zawsze patrzy ze zrozumieniem, życzliwością i miłosierdziem. Wzrok, który patrzy na mnie nawet wtedy, kiedy Go ranię. Patrzy On z wielką miłością i przebaczeniem.

Szczególnym moim przeżyciem, albo spotkaniem z Jezusem była scena kiedy Jezus był i jest wyśmiewany, biczowany i cierniem koronowany. Doświadczyłem tego spotkania ze wzrokiem Jezusa jako ten, który wiąże Go nie dając mu żyć, jako ten który odrzuca Jego słabość i bezbronność, który szydzi z Jego niemocy i bezsilności. Ale zobaczyłem w tym zwałtretowanym Jezusie siebie. Siebie słabego zakompleksionego, poranionego i zobaczyłem oczami serca jak bardzo nie daję sobie żyć tylko dlatego że nie spełniam swoich oczekiwań

względem siebie. Jak biczuję siebie i jak biczuję Jezusa. Jak biję Jezusa, aby przyznał mi rację, że jestem do niczego. Nic takiego się nie stało. Mój Pan nigdy mi tej racji nie przyznał. Przyjął na siebie wszystkie razy jakie Mu wymierzyłem cały czas patrząc na mnie z życzliwością i miłosierdziem. Było to doświadczenie bardzo głębokie i przekonywujące mnie, że Jezus jest bardzo blisko człowieka - mnie słabego i grzesznego. A te kompleksy stały się nie tym co mnie oddziela od Boga, ale mnie bardzo z Nim łączy. Zaczęło też we mnie upadać przekonanie, że mogę się zmienić, że to co przeżyłem w dzieciństwie pójdzie w niepamięć. Nic takiego, właśnie to co trudne, bolesne stało się tym co mnie zaczęło łączyć z Jezusem a właściwie to On uniżył się, aby to wszystko przyjąć razem ze mną. Zacząłem o perfekcjonizmie a skończyłem na kompleksie niższości, bo wydaje mi się, że kompleks niższości jest korzeniem perfekcjonizmu, którym próbuje coś nadrobić we własnych oczach. Przez uporządkowanie próbuje poprawić sobie humor a nie uwielbić Boga i kochać bliźniego. Działanie staje się dla mnie sposobem, aby przede wszystkim przed samym sobą być kimś wartościowym. Samo bycie to dla mnie zbyt mało aby w moim mniemaniu zasługiwać na miłość. Oczywiście gdzieś w tle w korzeniach tego wszystkiego znajduje się moja mama, którą właśnie poprzez działanie próbuję zadowolić i to jest czystym powodem moich niepokojów, lęków a nawet depresji.

Ponížanie siebie to po prostu pycha, bo to ponížanie Boga i ponížanie bliźniego. Jak już ponížam to wszystkich, bo mam serce, które poniża i umniejsza siebie, aby siebie zadowolić. To wszystko się wyklucza i niszczy bo grzech niszczy. To u mnie jest korzeniem i powodem grzechu. „To co zbudowałem burzę, co zasadziłem wyplewiam”. Te słowa wpadły kiedyś głęboko w moim sercu i stały się słowem, które Bóg realizował. W moim życiu oznaczały i oznaczają, że za bardzo do niczego nie wolno mi się przyzwyczajać, bo ostatecznie jest to niepotrzebne.

Mówiłem już o życiu uporządkowanym, które musiało runąć i zostać zburzone, aby pójść dalej ,albo mówiąc bardziej dokładnie zostać poprowadzony dalej. Tak więc wszelki dar Boży, dar życia, które Bogu się podoba, ostatecznie nie jest samym Bogiem i nie jest do niczego potrzebne i Bóg nie chce, aby nadzieję pokładać w Jego darach i cieszyć się Jego darami, a nie Nim samym. Tak więc na nowo wszystko zaczęło upadać. Już powiedziałem o kompleksach i przekonaniu, że się zmieniłem i że zranienia moje rany są do niczego nie potrzebne. Są bardzo potrzebne chociażby do tego aby nimi się podzielić, aby móc czuć się słabym i potrzebować Boga, ale najbardziej są potrzebne aby kochać braci, którzy są uwikłani w podobne rzeczy, żeby rozumieć bliźnich i im przebaczać. Wstawiać się za nimi, aż do gotowości, aby oddać za bliźniego życie tak jak Jezus oddał swoje za mnie.

O Jezu jak jesteś niesamowity zaskakujący, jak bardzo Chcesz żyć pełnią życia we mnie, z tego co najbardziej mi przeszkadza potrafisz wyciągnąć największe dobro!

Kiedyś myślałem, że potrafię kochać, że czynię dobro i to jest miłość niestety okazało się, jak przed chwilą wyjaśniałem z mojej miłości zostały nici „zwietrzała sól godna podeptania przez ludzi i czym ją posolić”. Niestety nie kocham tylko zaspakajam swoje żądze bycia grzecznym, poukładanym chłopcem, który chce zadowalać wszystkich czyli chce dokonać rzeczy niemożliwej, której nie dokonał nawet Bóg bo przecież nie da się wszystkich zadowolić i trzeba rozeznawać co dziś dam radę i co jest wolą Bożą! Moje poczucie życia, w którym staram się kochać upadło, ale chciałem zaznaczyć, że ciągle upada bo ciągle próbuję dokonywać rzeczy niemożliwej. Kochać swoją siłą. Z pozycji siły nigdy i z pozycją, że dam

radę, nigdy. Ale będąc: słabym, grzesznym człowiekiem, u którego już ludzka miłość zostaje podeptana przez ludzi i wyrzucona, mogę kochać. Boską miłością, albo Bóg może kochać we mnie bo już nie próbuję po swojemu. BÓG JEST MIŁOŚCIĄ. Miłość nie jest czynem tylko osobą. Przeważnie osoba coś czuje, coś ma do powiedzenia, coś mówi i czegoś chce. I wystarczy słuchać. Słuchać Boga, słuchać ludzi i służyć. Jakże to proste a jak trudne - żyć w przekonaniu, że nie potrafię, że jestem słaby i zwiotczały, godny politowania. To właśnie Bóg ma szansę być moim Bogiem, a ja jego dzieckiem. A ja ciągle próbuję swoich sił w miłości, w życiu ,aby siebie dowartościować. Jestem wart miłości bo jestem stworzony z miłości, ale jakoś trudno to do mnie dociera. Ta dziura w moim sercu, pragnienie nasycenia czasem tak bardzo ssie, że wsysa wszystko, niestety też grzech, który obiecuje nasycenie, spełnienie. A efekt jest odwrotny tylko powoduje powiększenie dziury. O nieszczęsny ja człowiek. Chciałbym krzyknąć i wyć jak św. Paweł nie czynię tego co chcę ale to czego nie chcę. Grzech jest mocniejszy ode mnie i jak próbuję żyć po swojemu przegrywam z żądzami, które mieszkają we mnie. Cierpię bo chcę sam, bo nie do końca ufam w bezinteresowną miłość mojego Boga. A szatan misternie bez ulgi pracuje ,abym nie ufał i nie wierzył Bogu, który jest miłością. Wiem, że to się ze mną dzieje i co z tego, jak moje serce dąży do Boga, a moje żądze, które bazują na kompleksie niższości dążą aby się dowartościować poprzez nasycenie ogromnego braku miłości, który noszę w sobie. A jak tej miłości doświadczę, to ciągle potrzebuję jej potwierdzenia. Tak np. jak moja żona ma po prostu gorszy dzień i widzę po niej, że jest smutna, zamyślona, to myślę, że to przeze mnie. Jak córka ma ciężki dzień i wyraża swoją złość, frustrację, to myślę, że przeze mnie. Wtedy każdy humor innych ludzi mnie dotyka. Jak mój kierownik duchowy jest zmęczony to wydaje mi się, że powinienem dać mu odpocząć i nie zawracać głowy. Teraz widzę jak wielkie rany można nosić od dzieciństwa, jak wiele dobrego przynosi wyrażanie uczuć i mówienie co mnie boli, żeby komunikacja między małżonkami, dziećmi była żywa i prawdziwa bez udawania, że jest wszystko w porządku.

Czasem jest zupełnie inaczej niż myślę, bo po prostu nie zapytam żony i cierpliwie nie wysłucham tylko osądzam według siebie. I tu znów pojawia się kompleks niższości, który wmawia, że wszystko co złego się dzieje dookoła jest przez niego i że jest odpowiedzialny za zły humor osoby bliskiej. I tu znów wspomnę o mojej mamie, która staje tu w centrum mojego życia jako ktoś kogo trzeba zadowolić i to co ona przeżywa jest moją winą.

Proszę Cię Jezu o miłosierny stosunek do mojej mamy. Teraz właściwie widzę jak bardzo jestem jeszcze zmanipulowany przez mamę i zapominam o tym wszystkim co dobre we mnie. Staję się wtedy małym dzieckiem, które ucieka w samotność i nie pozwala nikomu, nawet Bogu pomóc sobie, aby zobaczyć coś innego niż ból samotności i odrzucenia. Jest to straszne zamknąć się w tym piekle samemu, a ja często to robię i nie widzę wtedy nic oprócz bólu i cierpienia i na tym tylko się koncentruje i niszczy siebie, niszczy siebie, bo nie umiem oddzielić siebie od swoich grzechów, braków, kompleksów.

Łatwo w ten dół wpaść, gorzej z niego wyjść. Ważne, żeby w takiej sytuacji próbować się wyrwać z tej sytuacji bez wyjścia. Właściwie co mogę wtedy po ludzku zrobić, to iść do ludzi, iść do tych ludzi albo konkretnego człowieka, kto pomoże mi nabrać dystansu do mojej sytuacji. Co jest dla mnie bardzo ważne, żeby ktoś miał chwilę dla mnie po prostu, żeby miał czas dla mnie, bo ja w takiej sytuacji staję się bardzo nadwrażliwy i wszystko odbieram jako próbę odrzucenia mnie.

Drugą rzeczą, jeszcze ważniejszą, jest to jak zostanę przyjęty. Bardzo ważne jest to, abym nie narzucał na siebie w takich chwilach dodatkowych obowiązków w pracy w modlitwie, bo wszystko wtedy staje się żądzą, którą nie zapełnię mojej pustki, bo i tak wszystko obrócę przeciwko sobie, bliskim i Bogu. Ważne abym odblokował siebie i zapytał siebie czego tak naprawdę chcę. Wstanie z tego upadku, to pozwolenie sobie żyć, wybrać, pójść tam, gdzie serce podpowie. Ja to czasem nazywam, że trzeba odwiązać Jezusa od słupka, przy którym Go związałem i bicuję. Wypominam Mu wtedy, że nie działa, że jest bezsilny i co za z Niego Bóg. Jak ma działać skoro Go związałem. Jest wtedy też we mnie lęk, że jak Go rozwiąże, to gdzie mnie poprowadzi, bo nie mam do Niego zaufania. Najważniejsze to pozwolić Bogu być Bogiem i jakimś ostatkiem sił próbować Mu zaufać.

Jak pisałem o moich kompleksach, destrukcyjnej samotności, było to we mnie bardzo żywe, bo właśnie przeżywałem taki dół. Ale teraz jak pisze co z tym po ludzku można zrobić, to też to przeżywam. Ten fragment jest w większości pisany na gorąco, prosto z serca. Dziś mogę powiedzieć, że pozwoliłem Bogu na nowo ze zwiększoną siłą działać w sobie. Staram się też przełamywać siebie w wyjściu do ludzi i nie hamować swojego serca, w którym jak wierze, ale także doświadczam mieszka Bóg. W takich sytuacjach życie zaczyna ruszać, pojawia się mnóstwo dobra w moim życiu, pojawia się też grzech, ale zaczynam czuć że żyje i te hamulce, które są zaciągnięte we mnie puszczam i zaczynam przeżywać coraz więcej radości. Sprawiam też radość moim bliskim, ale też sobie. Zaczynam dostrzegać swoje potrzeby i pragnienia, ale też pragnienia bliskich także pragnienia MOJEGO PANA. Właśnie zacząłem rozumieć bardziej moją córkę, którą poczęstowałem swoimi brakami i najgorsze, że jak ona przeżywa swój dół i się siebie „czepia” ja do tego jeszcze dokładam, bo w takich sytuacjach i w takim stanie człowiek nie jest w stanie przyjąć żadnej krytyki, wiem to po sobie. Co do swojej jedynej córki, to żyję i czekam z radością, że kiedyś przyjdzie czas, że może pogadamy bez emocji, z dystansem i radością. Właściwie to już jest wiele radości w naszej relacji, radości z bycia, radości po prostu ze spotkania i też przebaczenia.

Jak dobrze znowu uwolnić się z tego niezaspokojonego i poważnego „JA”. Jak dobrze poznawać ciągle na nowo, kochać siebie, innych i Boga. Jak dobrze mieć pewność, że to co się dzieje jest dobre, jest darem, który pozwoli jeszcze bardziej zaufać i bardziej oddać się w JEHO ręce zawsze dobre, mądre, pełne przebaczenia. Właściwie po tym kolejnym kryzysie obudziłem się i wyszedłem do ludzi, okazało się, że wiele przekonań, sądów, których doświadczyłem w czasie tego dołu wypłynęło z mojego braku miłości. Egoizm, który tylko chciał być zadowolany przez wszystkich dzięki mojemu wysiłkowi i łasce Boga puścił. Zacząłem podejmować konkretne kroki, które pomogły mi stanąć w całkowitej prawdzie przed sobą, Bogiem i ludźmi. Powiedziałem całkowitej, bo zapomniałem zupełnie, że będąc grzesznikiem mogę być wartościowym człowiekiem.

W tym czasie zacząłem od rozmowy z O. Jerzym, a właściwie Bóg zainspirował tą rozmowę. Trzeba było pogadać, aby zacząć oczyszczać naszą relację. Chcę przypomnieć, że O. Jerzy jest moim spowiednikiem i kierownikiem duchowym. Wkradło się tu wiele uprzedzeń, które bazowały na niewypowiedzianych uczuciach, domysłach, które pojawiały się w różnych sytuacjach. Pozwoliło mi to też usłyszeć, że ktoś ma inne zdanie, inne spojrzenie na rzeczy, które mnie np. frustrują czy niepokoją. Może się powtórzę, ale zapomniałem o pozytywach w moim życiu. Następnie postanowiłem, a właściwie pojawiło się w moim sercu pragnienie, aby przypomnieć sobie to co już Bóg dokonał w moim życiu, a

ponieważ nadarzyła się okazja, że mieliśmy spotkanie wspólnoty męskiej i Mszę Świętą poprosiłem, aby ta Msza była odprawiona w mojej intencji, a po Mszy Świętej podzieliłem się długim świadectwem z życia, jak Bóg wyprowadził mnie z alkoholizmu i innych przywiązań. Dużo też mówiłem jak przeżywam obecność Maryi w moim życiu. Zagrałem też oczywiście na gitarze. Powoli zaczęło docierać na nowo do mnie jak bardzo Bóg troszczy się o mnie i że ludzie, którzy są obok mnie są mi przyjaźni. Złamałem pewien schemat w mojej głowie, że dawne czasy trzeba zostawić, czasem też nie widziałem sensu przypominania np. rocznicy trzeźwości, jak to widziałem ostatnio. Bo właśnie ta Msza Święta była w tej intencji.

Teraz myślę, że wszystko co służy mnie, moim bliźnim i jest pomocne w utrzymaniu higieny psychicznej trzeba robić, mówić, aby wreszcie zacząć żyć bez kontroli nad samym sobą. Okazało się, że trzymam w sobie wiele przeżyć, uczucia i swoje zdanie na pewne sprawy, które mnie dotyczą. Że trzymam i magazynuję też wiele pozytywnych rzeczy, które chciałem zrobić, powiedzieć o nich, wprowadzić w życie. Są to głównie małe rzeczy, np. jak zaproponowanie spotkania z przyjacielem, czy też wyjście do bliźniego z jakąś swoją radością, albo danie czegoś co już od dawna chciałem zrobić. Tak więc od tamtego czasu spotkałem się z przyjacielem, pokazałem znajomemu to co robię, to co trudne, dałem mu też drogę krzyżową, którą napisałem. Od dawna miałem pragnienie w sobie, aby to zrobić, ale zawsze jakoś to tłumilem. Myślałem o tym, aż w końcu dochodziłem do wniosku, że to bez sensu.

Teraz widzę jak obawiałem się i obawiam zranienia, jak nie chce już cierpieć, ale otwarcie się na miłość oznacza właśnie ryzyko zranienia i cierpienia. Powiedziałbym nawet, że im większe otwarcie i cierpienie tym może być większe cierpienie. Przełamuję też uprzedzenia do ludzi, które się we mnie pojawiają. Powiedziałem sobie np. że nie pójdę grać koncertu, bo atmosfera jest niezbyt, że przerost formy nad treścią, że traktują ludzi przedmiotowo, a to przecież koncert uwielbienia. Może i miałem rację ale co z tego. Racja to wytwór głowy, który mówi zostaw to zostaw ich, po co się kolejny raz narażać na zranienie. A serce powiedziało stanowczo "idź tam!", nie zostawiaj ich, przełamuj się, powiedz co myślisz, aż wreszcie chcesz iść tam zostawić ich samych, możesz wnieść w tą grupę siebie i Chrystusa, którego niesiesz. Jak to niosę Chrystusa? Niesiesz. I tak wyklócałem się z Jezusem, który nie chce, abym układał się w świętym spokoju, bo święty spokój prowadzi do izolacji, samotności na własne życzenie.

Chrystus natomiast wie co dla mnie dobre, co służy mnie i moim bliskim, co służy konkretnej osobie, a najczęściej tą osobą jestem ja sam. Prawdziwa miłość nie pomija nikogo, a ja często próbuje pomijać siebie i to co chciałem i co o czymś myślę. Natomiast Bóg, miłość osobowa zawsze otwiera moje serce, daje wolność wyborów i mówi do mojego serca, a serce reaguje i odpowiada na Jego słowo nie swoim słowem, ale uczuciem, pragnieniem, decyzją.

Napisałem już wiele o prawdzie, którą trzeba strawić, o słabości, grzechu upadkach, umieraniu, zapieraniu się siebie i przegrywaniu. A tu pojawiła się wielka nadzieja i wielki, cud, bo te przegrane, te klęski, zapieranie się siebie, uparte dążenie do Boga na przepadłe, w ciemno nie kończy się w piekle, które trzeba czasem przeżywać, ale kończy się dalej i głębiej niż piekło, tam gdzie ani rdza ani cierpienie, ani gdzie grzech, ani śmierć nie ma już władzy, I JAK TU NIE WIELBIĆ JEZUSA?

VIII. PŁACZĄCE NIEWIASTY. Nie płaczcie nade mną, ale nad sobą.

Wiele razy w życiu doświadczyłem, że ktoś próbuje mi współczuć, ale współczuć czegoś co nie jest w ogóle godne współczucia, litości czy żalu. Doskonale takie rzeczy pokazuje Jezus, który pociesza niewiasty Jerozolimskie, płacząc nad Nim jak cierpi, niesie krzyż jak jest mu trudno. Najpierw niektórzy ludzie współczuli mi tego że nie piję, jaki to jestem biedny i nieszczęśliwy z tego powodu, a moim zdaniem nie było czego współczuć. Bo akurat robili to ludzie, którzy nie wyobrażali sobie życia bez alkoholu, bez czegoś co daje ulgę, albo co daje pozory ulgi i radości z życia. I tak było. A ja raczej nie wyglądałem na nieszczęśliwego człowieka z powodu dążenia do trzeźwości. Słyszałem: Biedny ten Krzysiek bo nie pije, pewnie żona mu nie pozwoli.

Będąc już w tym miejscu mojego pisania sam jeszcze bardziej się przekonuje jak wielkie znaczenie mają te decyzje, które łamią schematy wymyślone w mojej głowie np. że bez alkoholu nie da się żyć, albo że wszyscy piją. Na początek łamanie tych prostych i jasnych schematów, które nie miały w sobie żadnej racji, bo przecież ten właśnie alkohol wyrządził wiele szkód we mnie, mojej rodzinie i otoczeniu. Nie ma nad czym płakać i to jest raczej oczywiste. Jak trzeba i jest taka konieczność trzeba bezwzględnie picie odłożyć, bo jest to podstawowy warunek wejścia na drogę trzeźwości. Takie decyzje nie budzą aplauzu, eksplozji szczęścia i radości, są raczej trudem i cierpieniem które trzeba przejść na swojej drodze, aby kiedyś zacząć doświadczać prawdziwej radości.

Był też taki czas, że przestaliśmy oglądać telewizję. Właściwie to zepsuł się telewizor i nie było od razu za co kupić nowego. Powiedziałbym dziś, że całe szczęście bo właśnie w czasie kiedy czekaliśmy, żeby mieć pieniądze na nowy zaczęło się okazywać, że da się żyć bez telewizora. Nie jestem wrogiem alkoholu ani telewizora, ale patrząc realnie nic dobrego moim zdaniem te rzeczy do życia nie wprowadzają i nad czym tu płakać? Spotkałem się z reakcją mojej mamy, która próbowała załatwić mi jakiś telewizor: Bo jak tu żyć bez telewizji? I znowu: „Biedny ten Krzysiek bez telewizora”. I tak współczujemy bliźniemu w czymś, co go buduje, co sprawia, że staje się bardziej użytecznym człowiekiem, wreszcie co go zbliża do Boga.

I tu chciałbym zacząć historię której pewnie nikt nie chciałby przeżyć nawet ja sam, historię naszego synka Filipka. Patrząc po ludzku bardzo trudne doświadczenie, które jak się okazało miało i ma do dziś bardzo szczęśliwe zakończenie.

Kiedy przestałem pić a później zacząłem trzeźwieć i jak ja to mówię dostrzegałem już w życiu osoby, rzeczy, sprawy, które nie są końcówką mojego dużego nosa, kiedy już przestałem być najważniejszą osobą na tym świecie i zacząłem trochę myśleć o innych pojawiło się w moim sercu pragnienie, ale także w sercu mojej żony, aby mieć jeszcze dziecko. Sprawa wydawała się z pozoru łatwa, bo byliśmy młodzi i nie wiedzieliśmy o żadnych przeszkodach aby tak się stało. We mnie osobiście to było bardzo pozytywne doświadczenie, bo dawało wielką radość, ale też otwarcie się na nowość, nowy trud powiedziałbym, nowe wyzwanie w nowym życiu. Po rozmowach z żoną, która bardzo chciała, zaczęliśmy się po prostu starać aby się poczęło. I też powiem dziś bardzo śmiało po rozmowach z Bogiem, który temu błogosławił i też bardzo pragnął. Była to wielka radość bo

zaczęliśmy oczekiwać na dziecko, upragnione, chciane, ale także obiecane przez Ojca w niebie. Słowo Boże które słuchaliśmy razem z Jadzią zapewniało o szczęściu, wielkiej radości, wielkiej łasce w naszej rodzinie w związku z przyjściem na świat nowej osoby „Oto Oblubieniec nadchodzi” . „Kto przyjmie to dziecko w imię Moje, mnie przyjmuje”. To tylko niektóre ze słów Pana, który zapewniał o wielkim wydarzeniu w naszej rodzinie, o przyjęciu Jego samego do naszej rodziny. A więc dziecko chciane przez wszystkich, przez Boga, przez nas i również przez nasze dzieci. Jak już wcześniej wspomniałem zaczęliśmy się starać i czekać. To co miało być proste zaczęło się już komplikować, bo dziecko nie chciało się począć, więc próbowaliśmy i czekaliśmy, słuchaliśmy też Boga, który był w tym wszystkim z nami i zapewniał ciągle, że będziemy mieli dziecko. A więc fakty zaprzeczały już na samym początku tej historii temu co mówił Bóg. Trzeba czekać przecież i tak nie mieliśmy wpływu na to co się dzieje. Bo jak można mieć dziecko bez Boga?

Człowiek bierze udział w dziele stworzenia, ale nie jest tym który stwarza, stwórcą jest Bóg. A ja jako człowiek zapomniałem o tym, bo pomyślałem że zdecyduje o przyjściu na świat Filipka. Pan Bóg od samego początku uczył mnie prawidłowego myślenia i prawdy o tym, że to Bóg daje życie swoim dzieciom, a mnie uzdolnił do współudziału w tym dziele.

Staraliśmy się i czekaliśmy trzy lata. W tym czasie wiele razy wydawało się że już jest a jednak jeszcze nie, że nie tym razem. Jednak jak już wspomniałem upragnione dziecko poczęło się po trzech latach. Śmiałem się i mówiłem żonie, że jak tyle czekaliśmy to pewnie będzie dwójka. I rzeczywiście po pierwszych badaniach było podejrzenie, że mogą być bliźniaki. Jednak po czasie Pan Bóg został przy jednym i miał być to chłopiec.

Wielka radość panowała w naszym domu. Oczywiście cieszyliśmy się z Jadzią, ale cieszyły się też dzieci. Piękny czas i jako mężczyzna już z doświadczeniem życiowym, który miał już relacje z Bogiem przeżywałem ten czas bardziej świadomie. Myślałem też jak to będzie, chciałem jak najlepiej przygotować się na bycie ojcem już trójki dzieci. Jadzia była zdrowa wszystko szło normalnie to znaczy, że nie było się czym zbytnio martwić, dziecko rozwijało się dobrze. Poza tym miałem świadomość, że to nie moje dziecko lecz dziecko samego Stwórcy o czym sam zapewniał w słowach i wydarzeniach. Więc niech On się martwi. Jako mężczyzna chciałem też zwyczajnie zarobić na potrzebne rzeczy dla dziecka, jednak to był czas w którym pracowałem ciężko, a mój dług wzrastał. Sprawy materialne szły jak po grudzie, pod górkę i jeszcze do tyłu. Przeżywałem swoją niemoc związaną z tą sytuacją. Moja żona też zaczęła doświadczać różnych rzeczy, dużo drobnych niedyspozycji związanych z noszeniem dzidziusia pod sercem. Jednak wspieraliśmy się w tym jak mogli i czekali z wielką radością. Modliliśmy się wspólnie z żoną i dziećmi.

Pamiętam taką piękną scenę jak siedzimy i modlimy się z Jadzią która odkryła brzuch. Filippek już wtedy modlił się z nami. Na koniec każdy z nas pocałował brzuch Jadzi. Teraz mogę powiedzieć że Filippek był w pełni członkiem naszej rodziny chcianym i kochanym, choć jeszcze fizycznie się nie urodził. Żyliśmy, słuchaliśmy Słowa Bożego, Bóg zapewniał jak już pisałem o szczęściu moim jako ojca i naszym małżeńskim i rodzinnym. „Szczęśliwy człowiek co zaufał Panu”. „Małżonka twoja jak płodny szecup winny, synowie twoi jak sadzonki oliwki”. „Z pracy rąk swoich spożywać będziesz”. Całe to Słowo wypełniało się w rzeczywistości choć bywało trudno. Opieka Boża nad nami po prostu była. Wszystkiego tyle co trzeba. Dawid z Dorotą chodzili do szkół uczyli się, jeszcze dodatkowo uczęszczali do szkoły muzycznej. Ja rano wstawałem modliłem się jechałem do pracy w

pralni. Te akurat wakacje przed przyjściem na świat Filipka, Dawid jeździł ze mną do pralni i uczył się zarabiać po prostu uczył się żyć, poza tym potrzebował perkusji, a ja nie byłem w stanie mu pomóc. Pracował ze mną, pewnie sam doświadczał że praca bywa trudem i wyrzeczeniem. Zresztą to po latach przyniosło wspaniały efekt w postaci szacunku do rodziców i szacunku do ludzi którzy po prostu pracują. Człowiek który zarabia na siebie czasem musi się kilka razy zastanowić zanim wyda pieniądze: czy akurat ta rzecz jest potrzebna, czy to ma służyć człowiekowi w życiu.

Wracając do tego jak wyglądał mój dzień, jechałem do pracy, zawsze jak byłem sam odmawiałem różaniec, jak byłem z kimś, czy z moim synem to rozmawialiśmy. Powiedziałbym, że rozmowa czy bycie z drugim człowiekiem było ważniejsze dla mnie niż modlitwa, bo przebywanie w obecności drugiej osoby to coś więcej niż modlitwa, to obecność, która może stać się miłością. A więc to do czego prowadzi modlitwa. No i praca, praca wraz z modlitwą i modlitwa wraz z pracą, oczywiście różaniec, bardzo często droga krzyżowa. Niosąc wór prania, który mógł ważyć ze 40 50 kg, łączyłem się z Jezusem niosącym krzyż. Jadłem kanapki, które rano robiła mi żona w termosie miałem herbatę. Tak do wieczora. Przyjazd do domu obiad, zawsze Jadzia czekała na mnie z obiadem i dobrym słowem. Wieczorem jeździłem też po syna i córkę jak przyjeżdżali ze szkoły muzycznej, i tak to życie się toczyło. Wieczorem wspólna modlitwa, czytaliśmy jeszcze na noc Słowo Boże na dzień następny.

Ważnym elementem naszego życia było i jest czytanie i słuchanie Słowa Bożego, przez które Bóg towarzyszy nam w życiu i nas prowadzi. Słuchając Słowa na dialogu małżeńskim, które mówiło o śmierci syna króla Dawida zostaliśmy trochę poruszeni i nie za bardzo chciało się wierzyć, że coś takiego mogłoby się przydarzyć w naszej rodzinie. Jednak Bóg przemawiał obiecując szczęście, mówił też o śmierci i ciężkich chwilach. No dobra zobaczymy pomyślała Jadzia jak zwykle powiedziała co ma być to przyjdzie, Bóg wie lepiej. Szczęście i śmierć? Szczęście i trudne doświadczenie.

Właśnie w te wakacje około 3 miesiące przed porodem Jadzia pojechała do lekarza i lekarz nie będąc pewnym skierował żonę do szpitala, żeby zbadać serduszko Filipka, bo było podejrzenie że ma wadę serca. To był taki sygnał, że może przyjść trud, cierpienie po prostu krzyż. Rzeczywiście był to tylko sygnał, bo okazało się, że jest wszystko w porządku. Więc czekanie i przygotowywanie ubrań, pieluchy. Trochę mieliśmy, trochę ktoś dał, a prawdziwe dzieło sztuki, które mamy do dziś w domu wykonała Dorotka, malując na starej waniencie sceny z kreskówek Disneya - po prostu rewelacja. I ze starej używanej wanienki zrobiła się piękna ze smakiem. A Bóg ze spokojem i miłością był z nami. Ostatni tydzień za tydzień termin, Filipek kopie, wszyscy się cieszą. Byliśmy gotowi na narodziny dziecka, ubranka przygotowane pieluchy, wszystkie potrzebne rzeczy udało się zgromadzić. Pamiętam też że pracowałem w ogrodzie przed domem, aby było koło domu pięknie, żeby też dziecko miało gdzie chodzić i przebywać. Prosiłiśmy też Pana Boga o zdrowie dla Filipka, A Jadzia prosiła o piękną pogodę na czas kiedy pójdzie do szpitala, o piękną kolorową jesień.

W środę tego tygodnia poszedłem do ojca Stanisława na rozmowę, wszystko było bardzo podobnie jak zwykle, ale po rozmowie jak nigdy ojciec Stanisław powiedział do mnie takie coś: może przyjść krzyż, trudne wydarzenie i jak to on w swoim stylu zażartował, żebym słuchał starszych. Za pokutę po spowiedzi dostałem, aby napisać na kartce takie powierzenie każdego członka rodziny, taki akt oddania przeze mnie jako głowę rodziny.

Więc to zrobiłem i tą kartkę miałem zachować, schować albo umieścić w domu gdzieś za obrazem. Treść tego listu była taka, że każdy z osobna należy do Ciebie Boże i że możesz czynić z nami co chcesz, bo wiesz lepiej. Już w ten sam dzień zaniepokoił się, zwłaszcza Jadzia, że Filipiek się nie rusza, był wieczór poszliśmy spać, pomyśleliśmy że może śpi. Żona była umówiona na piątek do lekarza, więc stwierdziliśmy że nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów. W czwartek zdawało się wrócić wszystko do normy, są ruchy, poszedłem do pracy Jadzia została w domu. Minął dzień, a jutro wizyta u lekarza. W piątek pojechałem do pracy, jednak ten dzień był strasznie trudny od rana. W pralni dużo stresowych sytuacji, miałem też stłuczkę samochodem służbowym, dużo emocji, dużo pokus. Po południu myślałem jadę do domu, jadę po Jadzię bo jest u lekarza.

Pojechałem do ośrodka zdrowia i właśnie żona wychodziła z gabinetu i mówi dziecko jest martwe nie ma już żadnych ruchów. Jutro rano mamy pojechać do szpitala aby go urodzić. Przyjechaliśmy do domu, ale już jadąc samochodem pojawiały się we mnie trudne pytania do Boga: Co teraz? W takim razie co od nas chcesz?. Pamiętam też osobę która jechała z nami, a była to kobieta która miała już w niebie parę dzieci i jakoś nie mogła urodzić zdrowych i żywych dzieci. Historia zdawało się była dopracowana w każdym szczególe przez naszego Boga. Wieczór i noc to czas czekania i walki. Jadzia ciągle mówiła że to jej wina, A ja ciągle już nawet nie wierząc w to co mówiłem, że tak nie jest, prawdziwa godzina złego, który chce zniszczyć człowieka, aby go oskarżyć i zniszczyć, doprowadzić do tego aby Jadzia się oskarżyła i żebym ja ją oskarżył. Jednak ostatkiem sił i przekonania mówiłem Jadzi że to nie jej wina. I tak czekaliśmy całą noc na poród w szpitalu. Rano pojechaliśmy do szpitala.

Chciałbym też wspomnieć bardzo ważną rzecz, że dużo znajomych i przyjaciół modliło się za nas, po prostu dzwoniłem i prosiłem o to, modliły się siostry zakonne, bliscy ze wspólnot i czuć było to wsparcie. A my w centrum tych wydarzeń jak dzieci trzymające się razem i ufające w ciemno Bogu.

W szpitalu przyjęli Jadzię i lekarz powiedział, że dobrze by było aby Jadzia normalnie urodziła Filipka, trzeba podać kroplówkę na wywołanie skurczów. Pamiętam że lekarz zaoferował pomoc psychologiczną, a Jadzia powiedziała tylko że chce abym był cały czas z nią, więc starałem się tylko być i towarzyszyć, przeżywać wszystko razem z nią. Leki zostały podane jednak nikt nie wiedział kiedy zaczną się skurcze. Lekarz mówił że dziś może jutro, albo nie wiadomo, A Jadzia mówiła że on nic nie wie, ale Pan Bóg wie, bo wszystko jest w Jego rękach. Jak trochę się sytuacja uspokoiła pojechałem do domu do dzieci, aby też coś zjeść przebrać się, aby znowu wrócić do Jadzi.

Syn i córka przeżywali to po swojemu, chciałem być chwilę z nimi. Jedno co pamiętam najbardziej, to okazywane zrozumienie wzajemna życzliwość.

Gdy wracałem do szpitala zadzwoniła mama: żeby dać łąpówkę lekarzowi, żeby Jadzia nie umarła. Ja na to że nie robimy takich rzeczy, żeby mnie przekonać dała słuchawkę tacie, który swoim grubym głosem powiedział, żeby dać. Ja znowu że nie dajemy, jak nie mamy to nam pożyczą. Wymawiałem się, a na koniec tata z wyrzutem powiedział: Zrób jak uważasz. Pomyślałem, że w tym mogę skorzystać z rady i tak właśnie zrobić. Jednak bałem się, jadąc jeszcze do szpitala modliłem się głośno, po prostu wyrażałem co mam w sercu, ten cały lęk, obawę, ale też tą nadzieję, że Bóg jest w stanie wszystko. Co do łąpówki dostałem

odpowiedź: „Nie można dwom panom służyć Bogu i mamonie”. Postanowiłem, że idę w zaufanie Bogu.

Przyjechałem do szpitala i razem z Jadzią postanowiliśmy, że nie dajemy nic z tych rzeczy. Wtedy wydarzenia zdawało się z całą mocą, miłością i czułością przejął Bóg. Pierwsza rzecz, to Jadzia dostała nową salę w której mogła być sama i mogliśmy tam przebywać bez skrępowania. Lekarz ten któremu miałem dawać łapówkę przyszedł do nas, przyszła też pielęgniarka, był spokojny czas na rozmowę, a Jadzia czuła się ogarnięta opieką, zresztą ja też. Czuliśmy się przede wszystkim zaopiekowani przez Stwórcę, który był w sposób namacalny obecny wśród nas i posyłał ludzi do nas, aby pomagali. Następną rzeczą było to, że skurcze się zaczęły tego samego dnia wieczorem, jeszcze następną było to, że dostałem fartuch aby iść z Jadzią rodzić. Pytała jak mam urodzić martwe dziecko!? A ja na to żeby rodziła tak jakby było żywe. Na porodówce byliśmy sami, położna powiedziała co mamy robić, a w razie potrzeby przyjdzie do nas. I tak przychodził na świat Filip wśród ogromnego trudu Jadzi w niewytłumaczalnej i po ludzku harmonii. Jak nasiliły się bóle przyszła położna i lekarz i wzięli sprawy w swoje ręce. Wreszcie zobaczyliśmy dziecko, syna czy 3600 g wagi, 60 cm wzrostu, nie tylko ja, ale lekarz i położna, a także pielęgniarka byli pod wrażeniem wyglądu Filipka, po prostu okaz zdrowia.

Tak więc Bóg wysłuchał naszej prośby, aby dziecko było zdrowe. Pocałowałem Jadzię dziękując jej za to że urodziła tego wspaniałego małego człowieka. Oglądałem go dokładnie i niestety został zabrany. Tak wyglądał poród, był bardzo ciężki dla Jadzi bo martwe dziecko nie pomaga, rodzi się tylko siłą parcia Matki. Pobyłem jeszcze z Jadzią i późnym wieczorem przyjechałem do domu. Następnego dnia pojechaliśmy z dziećmi do Jadzi. Zerwałem z ogrodu trochę róż, bo przecież dziś rocznica ślubu. Piękny dzień piękna pogoda złocista jesień. Bóg wysłuchał naszych modlitw o piękny pogodny czas i jak już wspominałem o zdrowie Filipka. Pan miał swój plan na ten czas, na który chcąc nie chcąc musieliśmy się zgodzić. Zgoda na to co przyszło pozwoliła nam dostrzec piękno i sens tych ciężkich chwil. Dużo ludzi do mnie dzwoniło pytało o Jadzię. Każdy kto chciał, aby ją pocieszyć został pocieszony.

Wracając do opowieści: niedzielę spędziliśmy razem z Jadzią w szpitalu. Nie zapomnę tego czasu, uśmiechu, życzliwości, nawet pamiętam taką scenę jak dzieliliśmy się szpitalnym obiadem, każdy coś zjadł. Dzięki wierze Jadzia mogła ten czas przeżyć inaczej, spokojnie bez paniki i rozpacz. Każdy kto chciał zobaczyć żonę, spotkać się z nią pocieszyć, wychodził zadowolony, zdziwiony i pocieszony jej spokojem. Chciałoby się powiedzieć: „Nie płaczcie nade mną ale nad sobą i waszymi dziećmi”. Było bardzo trudno, ale z Bogiem w jego obecności i bliskości i to wystarcza. Bardzo ucieszyła się moja córka Dorotka, że Jadzia jest pogodna, bo jadąc do niej obawiała się że mama teraz już będzie smutna. Wróciliśmy do domu bez dziecka sami, ciało Filipka zostało w szpitalu do badania. Badania potwierdziły, że jest zdrowy. Umarł odcinając sobie sam dopływ tlenu przez pępowinę. Wszystko pięknie tylko dziecko nie żyje!. Jak to nie żyje!? Wszystko pięknie i dziecko żyje. Taki koniec tej historii. Żyje już tam gdzie my jako ludzie wierzący dążymy. Ominął go trud, który trzeba przejść na tej ziemi. Żyje, bo wstawia się za nami. Dorotka mówi: jak mam iść do szkoły jestem nieprzygotowana, bo ten trudny czas nie sprzyjał temu. Poproś Filipka to ci pomoże i proszę przyszła radosna ze szkoły, że pomógł, sprawdzian został przełożony i wiele różnych drobnych rzeczy w których pomagał i pomaga. Wstawia się!.

Ta historia złamała moje serce, zmiękczyła je i uwrażliwiła, uwolniła mnie od lęku przed śmiercią, po prostu oswoiłem się z tym słowem, z tym co ma nadejść i nadejście na pewno. Przestałem się bać trudnych sytuacji. Zobaczyłem też jaką mam wspaniałą żonę, której prosta wiara jest tym czego się można od niej uczyć. Dla mnie była to ogromna próba wiary, próba na miarę Abrahama, który ofiarował swego syna, próba z której wyszedłem podniesiony, z głową do góry jako mężczyzna.

Na grobie Filipka jest napis: „O wartości życia nie decydują czyny choćby wielkie, ale miłość choćby mała”. Dla mnie mała miłość to najprostsze rzeczy: najpierw obecność, drobny gest w ukryciu, drobne słowo w ukryciu, wzrok aprobaty akceptacji, mieć czas dla kogoś, być dla kogoś całym sobą. Poznaliśmy też smak Krzyża, który na samą myśl przeraża odstręcza, a po przyjęciu staje się słodkim jarzmem. Ale tego może dokonać tylko Bóg, za moją zgodą.

I jak Cię nie wielbić Panie!!!

„Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie zabraniajcie im”.

IX. TRZECI UPADEK. Pożądliwości.

I tak sobie siedzę i zastanawiam się co dalej napisać, a właściwie czy potrafię pokonać próg do którego doszedłem. Od tego momentu drogi krzyżowej czyli od trzeciego upadku Jezus już nie idzie, to właściwie jest doniesienie Go za wszelką cenę na Golgotę. Siły fizyczne kończą się, możliwości ludzkie kończą się i wydaje mi się, że w takim punkcie jestem. Piszę o sobie i się wzruszam, ale też zachwycam historią, przeżyciami i obecnością Boga w tym wszystkim. Często czuję się jednak przytłoczony swoją słabością, przytłoczony też słabością innych. Przytłoczony tak bardzo że aż wbity w ziemię. Wydawało mi się że tyle razy już przerabiałem próby przyjęcia siebie jako człowieka słabego, nieudolnego czy wręcz sparaliżowanego swoją słabością, trudnościami i jest to czas kiedy to wszystko po prostu mnie przerasta. Chciałbym też podzielić się tym, wiele Bóg dokonał w moim sercu w ostatnim czasie i dalsza część tej opowieści będzie pisana po przeżyciu Wielkiej udręki, cierpienia i bólu, który jak już wcześniej wspomniałem mnie po prostu przerósł i przygniótł. Doświadczyłem swojej kolejnej klęski, a właściwie moje „Ja” doświadczyło klęski, żeby powiedzieć bardziej precyzyjnie doświadczyłem klęski, bo kurczowo trzymałem się ludzkiego myślenia, kalkulacji i nie chciałem poddać się temu, co po prostu jest.

Odkąd pamiętam często dążyłem do czegoś co zaspokoi mój głód. Wielką dziurę w środku, która aż zionie pustką i jak już wiele razy wspomniałem przez ten głód nie umiałem cieszyć się tym co miałem. Ciągłe mnie nosi i wodzi, aby szukać i dążyć do czegoś co da ulgę i zaspokojenie.

Pisałem już jak zaspokajałem swój głód alkoholem. Pisałem też o kompleksie i szukaniu dowartościowania i o poszukiwaniu miłości. A więc pisałem o nałogach, poranieniach, odrzuceniu, braku miłości. Te tematy jakoś w swoim życiu przerabiam. Czyli dbam o swoją trzeźwość mając na uwadze swoją chorobę alkoholową, przestrzegam tego wszystkiego czego nauczyłem się we wspólnocie AA, aby dbać o ten słaby punkt. Oczywiście cały czas uczę się siebie, poznaję siebie i swoje zranienia, przetrącenia, których

doświadczyłem w swoim życiu. Poznałem też to, co odziedziczyłem po swoich rodzicach, ale i to czym poczęstowałem oraz to czym zraniłem swoje dzieci i te tematy są mi znane. Z lepszym lub gorszym skutkiem próbuję przyjmować siebie z całym tym bagażem doświadczeń i przeżyć, które miały i mają wpływ na moje postępowanie, na moje decyzje, też na przeżywanie terażniejszości. Chciałem powiedzieć tak: wykonałem dzięki Łasce Bożej niemałą pracę, aby siebie zrozumieć w odczuwaniu i przeżywaniu relacji z Bogiem, sobą i innymi ludźmi. Wspomnę raz jeszcze o kompleksach, które rozbijają moje życie i nieźle dają w kość, o braku miłości, poranieniach grzechem z czasu picia itd.

Teraz jednak chciałbym się skupić na tym dlaczego już teraz doświadczając Boga i Jego dobroci, miłosierdzia ciągle szukam nasycenia w Jego darach a nie w Nim samym. Dlaczego bardziej atrakcyjnego życia szukam poza Bogiem, dlaczego chce wykorzystywać te dary, aby siebie zaspokajać emocjonalnie, aby się nasycać.

W tym rozdziale chce wspomnieć o tym co jest w każdym człowieku, o pożądliwości oczu, to jedna z sił która rządzi światem, a więc seksualność (seks). Pożądliwość ciała, to co służy ciału, ubrania, domy, samochody, pieniądze, no i pycha tego świata, czyli górowanie nad innymi, bycie Bogiem dla siebie i innych, władza.

I weźmy tu za przykład, jakie są przyczyny rozpadu małżeństw, oczywiście nie będzie to żadna statystyka, nic takiego tylko moje osobiste spojrzenie na ten temat. Żadna filozofia wystarczy popatrzeć na te trzy pożądliwości i już wszystko wiadomo. Najwięcej niedogadanych tematów w małżeństwie to tematy seksualne: o odczuciach, dyspozycjach czy zmęczeniu, albo znużeniu. Dużo jest też w ogóle nierealnego spojrzenia na tą sferę poprzez wypaczenie pornografią, czy innymi rzeczami jak dziwne poradniki, które mówią o nierealnych życiowo rzeczach np. o średnim czasie współżycia, nierealnych przeżyciach które mają zaspokoić głównie „ja”, a dzieje się zupełnie odwrotnie. Wtedy zaczyna się traktowanie męża czy żony jako przedmiot do zaspokajania siebie, a jak tego nie ma to szukanie przygody czy sposobu, aby za wszelką cenę siebie zaspokoić, zapominając zupełnie że jesteśmy ludźmi i żyjemy w realnym szarym świecie. I to chcę jasno powiedzieć, że jeżeli ktoś nie zмага się z tym tematem w swoim życiu, to być może go gdzieś głęboko zepchnął. A to może grozić wybuchem. Ja wolę ten temat uznawać za ciągle aktualny, powiem nawet więcej, jak się pojawia to uznaję że jestem na właściwym miejscu jako człowiek i mężczyzna, bo seksualność to część mojego człowieczeństwa. Jeżeli syn marnotrawny będąc w domu z Ojcem i doświadczając bycia w domu odszedł aby rozpuścić swój majątek z nierządnicami, to dlaczego nie ja. Dziś jestem bardzo wyczulony na temat pożądliwości oczu, bo ze wszystkich stron jestem bombardowany przekonaniem, że ciało ma być ciągle piękne, że ma służyć do zabawy i dawania przyjemności. No cóż gdyby reklama nie skutkowała także na mnie, to by jej już dawno zaniechano.

Najlepszym reżyserem dobrych reklam jest szatan, który obiecuje nierealne szczęście. Wiem z doświadczenia, że to bardzo piękna i delikatna dziedzina życia w której można doświadczyć wiele bliskości, ale też można bardzo łatwo ranić. Słyszałem też, że można używając sfery seksualnej łatwo manipulować swoją żoną lub mężem. Jeszcze raz chcę powtórzyć, że ten temat dla mnie ma być otwarty na Boga i na rozmowę z żoną, bo samotność w tych tematach jest niebezpieczna.

Najlepszym przykładem tego jest król Dawid, który zaniechał walki i został sam w pałacu i proszę: wszystko zaczęło się od podglądania, oczywiście nikomu nic nie mówił.

Temat został zamknięty, dalej w samotności pożądliwość doskonale się rozwijała, do tego stopnia że skończyło się wszystko zabójstwem. Jak doskonale reżyser szatan potrafi powolutku w samotności przekonać człowieka, aby nic nikomu nie mówił, przekonuje go powoli, że to małe zło i powoli przekonuje do większego i to nikt inny jak tam człowiek wchodzi w grzech przez swoją głupotę. Jezus uwrażliwia w kazaniu na górze na temat patrzenia na kobietę mówi: „Jeżeli pożądlawie patrzysz na kobietę to w sercu już dopuściłem się cudzołóstwa”. Takie patrzenie odbiera prawdziwy wzrok. Prawdziwy wzrok to widzieć człowieka, a nie przedmiot pożądania i w Ewangelii Jezus pokazuje to jak uzdrawia ślepcę. Ten człowiek rzeczywiście był fizycznie ślepy. Najpierw Jezus wyprowadził go ze wsi, a więc z tego w czym siedział i uzdrowił mu wzrok, a ślepy powiedział: „Widzę ludzi jak drzewa”, czyli jak przedmioty, jak przedmioty które mają mi służyć. Myślę, że większość ludzi tak widzi. Przede wszystkim ja tak patrzę, bo to Słowo jest przede wszystkim do mnie i często przestaję dostrzegać człowieka w kobiecie.

Co robi Jezus?. Wykonuje następne gesty, przez które ten człowiek zaczyna widzieć prawidłowo. Nie widzi już ludzi jak drzewa. Przewidzenie to patrzeć na kobietę i drugiego człowieka i widzieć rzeczywiście człowieka, który chce się czuć kochany tak jak ja i myśleć co mogę mu dać. Może właśnie drugiemu dać to, czego mi tak strasznie brakuje, a więc akceptację, bliskość, czas, czułość. To jest najlepsze lekarstwo na pożądliwość oczu zaspokajanie potrzeby przyjęcia akceptacji osoby poprzez to, aby przede wszystkim mieć czas dla swojej żony, aby wypowiadać słowa które nakarmią emocjonalnie, może komplement dobre słowo, pochwała. Może wspólna modlitwa. Dobrze jest usłyszeć za co żona dziękuje Bogu i o co Go prosi, bo wtedy bardziej poznajemy potrzeby drugiej osoby. No i oczywiście najpierw trzeba pracować, trudzić się dla rodziny, dla dzieci, aby wszyscy nie byli też głodni fizycznie poprzez niezaspokojone potrzeby ciała.

Udane życie intymne zaczyna się już zaraz po przebudzeniu i to nie jest żart. Zaczyna się tym że wstaję do modlitwy. Drugim punktem udanego życia seksualnego oczywiście w małżeństwie, bo to jest bardzo ważne albo najważniejsze, czas po śniadaniu i to też nie jest żart, to jest czas kiedy idę do pracy i buduje poczucie bezpieczeństwa dla swojej małżonki. Potem można po obiedzie na przykład zadzwonić do żony i wysłuchać. Dużo tych punktów w ciągu jednego dnia, może zaspokoić żonę po przyjściu z pracy, czyli wysłuchać i wesprzeć, pomóc w wychowywaniu dzieci. Dążenie do takiej postawy właściwie gwarantuje udane pożycie seksualne, które wieczorem może się dopełnić aktem płciowym albo i nie, bo to nie najważniejsze. Sam akt zbliżenia jest jak wisienka na torcie, a tort to wszystko co buduje poczucie bezpieczeństwa kobiety, to że przede wszystkim trzymam się Boga i wykonuję z miłością swoje codzienne obowiązki, to czułość, dobre słowo, czas, komplement, to wczucie się w drugą osobę. Właśnie to daje dużo większą radość i spełnienie niż sam akt seksualny. Pożądlliwość chce tylko brać i ma pretensje, że jest niezaspokojona. Najważniejszą rzeczą jest wejść w dialog z żoną, najlepiej w bardzo głęboki dialog, w którym można rozmawiać o potrzebach pragnieniach odczuciach, przeżyciach, dotyczących tematu seksualności, ale też wszystkich innych tematów.

Teraz trochę o chciwości, żądza pieniądza. święty Ignacy mówi, że wszelkie zło zaczyna się od chciwości. Można by tą chciwość podłączyć też do sfery seksualnej, ale może teraz o pieniądzach. Nie miałem dużo pieniędzy w swoim życiu, ale to nie znaczy że ten

temat mnie nie dotyczy. A może jednak ogólnie o chciwości, czyli chęci posiadania, nie uporządkowanej chęci posiadania wszystkiego.

Dziecku, któremu brakuje bliskości i czułości matki wszystko może służyć do zaspokajania tej wyrwy w sercu. Niewątpliwie mówię tu o sobie. Wydaje mi się, że ciągle sprawia mi trudność korzystanie z pieniędzy i rzeczy materialnych, ale także z dóbr psychicznych i duchowych. Czego nie posiadam wewnątrz: pokoju, akceptacji szukam na zewnątrz i ciągle potrzebuję potwierdzenia swojej wartości, czy aby na pewno jestem warty akceptacji. Korzystając z tych wszystkich dóbr i darów Bożych odkrywam w sobie to co nazwałbym nieumiarkowaniem i tak naprawdę normalne potrzeby człowieka zmieniają się w pożądlivości.

Gdy byłem młody marzyłem o skromnym życiu. Wyobrażałem sobie to życie jako stan zaspokojenia potrzeb psychicznych duchowych, wyobrażałem sobie życie jako szczęście, zgodę, harmonię i miłość. Marzenia obejmowały też sprawy materialne dom, samochód, praca, czyli rzeczy materialne, które można mieć za pieniądze, a praca to oczywiście zarobki. Dziś mogę powiedzieć, że wszystkie te wyobrażenia się spełniły, jednak ciągle czegoś brakuje. Ciągle pieniędzy za mało, samochód staje się coraz bardziej zużyty, ciągle w domu trzeba coś poprawić, wyremontować czy kupić. Nawet pójść dalej, żyję w zgodzie i harmonii, wydawałoby się w szczęściu, a jednak nie, bo ciągle czegoś brakuje, ciągle coś szwankuje, ciągle czegoś potrzebuję, aby to wyobrażenie szczęścia osiągnąć. Specjalnie napisałem wyobrażenie szczęścia, bo to dążenia do iluzji szczęścia, a mi jak dziecku, które szuka bliskości i czułości ciągle czegoś brakuje. Bardzo łatwo jest mi przekroczyć pewną granicę, która jest pomiędzy tym, abym posiadał w swoim życiu pieniądze i inne dobra, a tym żeby to pieniądze mnie posiadały. Jezus mówi: „Nie można dwóm panom służyć, Bogu i mamonie”. Mnie jako człowiekowi o niskim poczuciu wartości jest o wiele łatwiej tę granicę przekraczać. Zamiast zarabiać pieniądze, żeby służyły mnie i mojej rodzinie i wszystkim, ciągle wydaje mi się, że osiągając kolejny mały cel osiągnę to wyobrażenie szczęścia, tą iluzję o której wcześniej napisałem. Często pieniądze i rzeczy materialne, chcą kierować moim życiem duchowym i stać się moim dążeniem lub celem. Daje mi to pewne chwilowe poczucie szczęścia, które jednak zamiast zaspakajać powoduje kolejne głody i pragnienia. Oczywiście jest to odrzucenie Boga, bo próbuję wtedy żyć poza Nim, sam staję się bożkiem i odrzucam Bożą łaskę. „Ojciec niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie”. „Starajcie się najpierw o Królestwo niebieskie a wszystko inne będzie wam dodane”.

Jak trudno jest naprawdę zaufać Bogu, nie powiedzieć „Jezu ufam tobie”, tylko naprawdę zaufać sercem, bo to całe dążenie to pogoń za wiatrem, to tak naprawdę brak zaufania w dobroć Boga w to, że Bóg naprawdę o wszystko się troszczy.

Kiedyś było mi przykro że nie mogłem dawać swoim dzieciom rzeczy materialnych, pieniędzy, finansować nauki, kursów, ale dziś widzę jak doskonale Bóg zachował mnie i moje dzieci od przewartościowania pieniędzy, rzeczy materialnych i tytułów naukowych. Na pewno wiem i tego doświadczyłem, że szacunku nie można kupić za pieniądze, można jedynie w dziecku rozbudzić chęć posiadania, rozbudzić żądze, które nigdy nie będą zaspokojone. Święty Ignacy mówi, że najlepszym lekarstwem na chciwość jest ubóstwo. Pracuję, posiadam i korzystam z dóbr i pieniędzy, które należą do Boga. Nie są moje, ale mogę korzystać. Najważniejszy jest dawca tych darów czyli Bóg. Życzyłbym sobie takiego

podejścia. Kiedyś myślałem, że takie podejście już mam, ale to też ułuda. Żądza pieniądza jest we mnie, żyje i działa. Mogę jedynie to przyjąć.

„Pewien człowiek miał dwóch synów”. Tak zaczyna się przypowieść o miłosiernym ojcu, albo o synu marnotrawnym. Jest dwóch synów obaj chciwi, obaj głodni, obaj grzesznicy. Ja jestem jednym z nich, albo jestem tym i tym. Tak, czy inaczej dobry jest tylko Bóg. Czy odchodzę, czy zostaję jestem grzesznikiem. Chciwość niezależności od Boga skłania młodszego do wyjścia z domu i ułożenia się w wygodzie. Chciwość szacunku i pozornego bezpieczeństwa, które zapewniają dary Ojca kieruje synem starszym. Na pewno motywacją obu synów nie jest miłość. Żaden nie kocha, bo żaden nie mówi o pragnieniu relacji i bliskości z Ojcem i to jest korzeń grzechu: brak miłości, chciwość i patrzeć na zysk, to co może mi druga osoba dać, albo inaczej: co mogę od bliźniego wziąć.

Upadki pokazują tę postawę wewnętrzną, którą Jezus nazwał pychą tego świata, która rodzi się z pożytkowości oczu i ciała. Upadki otwierają mi oczy na moją małość i bardzo niskie powody i motywy mojego działania. Trudno jest w sobie odkrywać słabość, doświadczać swojej słabości i grzechu. Jedno wiem bardziej dla mnie jest niebezpieczna postawa starszego syna, który uważa że jest w porządku i wszystko co ma należy mu się ze względu powiedziałbym na powierzchowną wierność Bogu. I to jest moim zdaniem sedno pychy: „powierzchnowość”, którą najczęściej obnażają upadki w chciwość, łakomstwo i seksualność bo to wszystko się łączy. Tylko jak pokazać pychę człowieka, Jak pokazać że jego doskonałość jest fałszywa, powierzchowna, że jego doskonałość to iluzja. Może wrócę jeszcze do starszego syna. Jego pycha ujawniła się przez to, że nie wszedł w bliskość najpierw z Ojcem, że nie był prawdziwy, a potem nie wszedł na przyjęcie na którym świętowano powrót syna młodszego. Postawił siebie ponad tym wszystkim, bo pewnie poczuł że nic z jego wysiłków. Po ludzku praca i wysiłek są dobre, ale bez miłości to tylko karta przetargowa przed Bogiem, czy bliźnim, że mi się cokolwiek należy. Najgorzej jak uważam że, należy mi się zbawienie, że zasługuje na życie wieczne, że zasługuję na cokolwiek. Moje upadki zawsze spowodowane są odejściem od Boga, właściwie upadek, grzech ,to właśnie odejście i odwrócenie się od miłości.

Dziś człowiek, chrześcijanin, właściwie ja sam i ci których obserwuję i trochę znam próbuje ogarniać i porządkować to co jest widoczne, próbuje eliminować grzechy powierzchownie, aby być w porządku przed sobą i przed ludźmi. To właściwie można nazwać zarazą dzisiejszych czasów, może nie tylko dzisiejszych, ale w ogóle jest to pokusa, która wręcz zostaje nam wpojona w rodzinach, szkole, na religii a nawet w kościele. Specjalnie napisałem, że chcemy być w porządku przed sobą i innymi, bo Bóg chce inaczej: wystarczy czytać i słuchać Słowa Bożego. Przynajmniej ja poznaję, albo próbuję poznawać siebie w świetle tego co mówi Bóg. On głosi Dobrą Nowinę do ubogich, grzeszników, pijaków, pyszałków. A ja ciągle próbuję być w porządku zamykając się na radość ze zbawienia, zamykając się na łaskę i odpuszczenie grzechów. I o to właściwie chodzi szatanowi, aby zamknąć mnie na łaskę, zamknąć na bliską relację z Bogiem i aby przez mądrości ludzkie próbować wyzwolić się spod władzy grzechu i szatana. Takie wyzwolenie jest fałszywe i faryzejskie. Ludzko religijne myślenie może dać jedynie samozadowolenie i przekonanie że zbawienie mi się należy i że z automatu mogę się czuć lepszym od kogokolwiek. Przynajmniej ja w swoim życiu spotkałem bardzo mało ludzi, a właściwie to grono się jeszcze pomniejsza do pojedynczych osób, którzy żyją i myślą w ten sposób. Ale

teraz myślę, że właśnie prawdziwe dążenie do Boga powoduje taką postawę u człowieka, który jest oświecony Słowem Bożym i Jego obecnością. On jada z celnikami i grzesznikami, faryzeusze się gorszą.

Święty Paweł urodzony faryzeusz z mocno wpojoną religijnością i znajomością Pisma Świętego pewnie spadając z konia doznał wielkiego wstrząsu, doświadczył tego jak bardzo się mylił prześladowając chrześcijan, prześladowając tych, którzy starali się żyć w łasce Bożej, tych którzy żyli radością z darmowego zbawienia. Pewnie trudno było mu wykorzenić z siebie to faryzejskie myślenie, dlatego Bóg w swoim miłosierdziu dopuszczał na niego oścień, aby mógł znowu żyć w łasce Bożej jak to on mówi.

Przeżywam to w swoim życiu i czasami pycha i myślenie, że mogę sobie poradzić z grzechem bywa obnażona przez mojego Boga i właśnie dziś Mu za to dziękuję.

X. OBNAŻENIE Z SZAT. Otwarcie dawnych ran i lęk.

Lęk towarzyszył mi w życiu odkąd pamiętam i jakby tak przeanalizować moje życie to był, jest i pewnie będzie z różną siłą w różnych chwilach życia. W ogóle z tym lękiem to niezła gmatwanina uwikłań, uprzedzeń, przekonań, zranień, braku zaufania i zamykania się w sobie. Z lękiem też związany jest wstyd przed prawdą. Związany jest z nim dyskomfort, uciekanie, ukrywanie się, potem domyślanie. Generalnie jednak u mnie to jest uciekanie od relacji, brak zaufania do Boga i do ludzi, uciekanie w poczucie winy oraz zamykanie się w swoim żalu i swoim bólu. Lęk przed brakami, stratami, przemijaniem czy zranieniem. Lęk przed zwierzętami, zjawiskami atmosferycznymi, chorobami, zarazami, kryzysem finansowym. To na razie przyszło mi do głowy i na pewno każdy lęk, który wymienilem mnie dotyczy. W znakomitej większości te zagrożenia rodzą się w mojej głowie i nie są realne, albo mało prawdopodobne. Nikt nie boi się, że na przykład wygra w Totolotka, bo jest to mało realne.

A więc lęk jest niezłą pożywką i wiatrem w żagle dla diabła, który bazuje na kłamstwie, wyolbrzymianiu i potrafi nieźle uzasadniać różne zagrożenia i strachy. Jego taktyką jest odciąć człowieka od Boga i w samotności doprowadzić go do rozpacz. Jak chcemy kogoś zmanipulować, posiąść, żeby robił to co chcemy, zastraszyć i zdołować wmawiamy mu, że nie jest nic wart.

Może zacznę od lęku odkrytego ostatnio. Jest to lęk przed Bogiem, albo przed jego moim obrazem. Lęk przed sprawiedliwością z prostego i najbardziej oczywistego powodu, jakim jest zawarcie kompromisu z grzechem. Boimy się spotkania z Bogiem, a szatan wsącza nam, że trzeba się ukrywać, że trzeba się chować bo Bóg jest surowy i nie ma w Nim miłości i miłosierdzia. A dlaczego grzeszę? Bo chcę się spełnić i zrealizować poza Bogiem, bo do końca nie ufam w Jego dobroć i troskę o mnie. Próbuję mieć coś dla siebie w zanadrzu, no takie chociaż jabłuszko z ogrodu rajskiego, no bo jakby ten "surowy" Bóg mi wszystko zabrał to sobie coś zostawię na pociechę. Często tą pociechom bywa po prostu grzech. Więc bardziej chodzi o to co zostawiam sobie dla siebie i jaką rzeczywistość chcę tworzyć na własną rękę. Często też są to rzeczy niewinne, niby bez znaczenia na początku. Są to pragnienia ludzkiego spełnienia, które były kiedyś poruszone ale zostawione, wyparte lub

uznane za załatwione. W moim wypadku jest to pragnienie bycia kimś wyjątkowym. Przecież trzeba jakoś nadrabiać niskie poczucie wartości, ale o tym już w większości pisałem. Jednak sprawa nie jest do końca zamknięta. I całe szczęście, bo Jezus nie chce, abym zamykał cokolwiek przed Nim i uznawał, że można to pominąć, aby nie tracić czujności.

„Czuwajcie i módlcie się, abyście nie ulegli pokusie”. Dziś moim celem jest, aby wszystkie rzeczywistości mojego serca, wszelkie słabe punkty, które noszę w sobie nie były zamknięte, ale otwarte. Otwarte na światło Słowa Bożego, otwarte na drugiego, zaufanego człowieka, a to wiąże się z przełamywaniem kolejnych barier, leków i obaw przed Bogiem i drugim człowiekiem. W sumie nie mam wyjścia, bo walka idzie o to, abym żył w łasce, czyli w prawdzie jako słaby człowiek potrzebujący Boga. A z drugiej strony przychodzi pokusa, że jestem już dostatecznie silny, aby sobie poradzić sam.

Znów wracam do przykładu z mojego alkoholizmu, uznając ciągle, że moim słabym punktem jest picie, otwieram się na łaskę Boga i dzięki Niemu nie piję. Oczywiście trzeba ten problem otwierać też przed drugim człowiekiem i przed sobą. Uznanie mojej słabości, albo ciągle uznawanie mojej słabości powoduje, że Bóg jest moją siłą. Przecież sam już nie raz próbowałem i co z tego wyszło. Natomiast szatan bagatelizuje problem i bazując na lęku przed Bogiem, że zgani, że ukaże, że nie pomoże i powie coś ty narobił, stara się zamknąć człowieka z jego słabością, której sam nie może pokonać, bo jest za słaby. Tak samo jest z każdym grzechem, który szatan bagatelizuje i kusi aby bagatelizować i przekręca poczucie grzechu słabości i oszukuje, że wystarczy być dobrym człowiekiem bez pomocy Boga, na własną rękę, bez Kościoła i bez Chrystusa. No i w takim wypadku poczucia samowystarczalności i poczucia się wolnym porządnym człowiekiem pojawia się cały pakiet lęków, które są bazą subtelnych i bardzo niebezpiecznych uwikłań, uzależnień i przekonań, które są wtlaczane ze wszystkich stron przez media, ludzi, gazety, rodziny, przez wszystko co nie bazuje na uczciwym i rzetelnym oparciu się na Kościele, Chrystusie i Słowie Bożym oraz wszystkim, co daje Chrystus w Kościele, a zwłaszcza Sakramentach świętych. Pojawia się we mnie pytanie: „Czy Chrystus znajdzie wiarę kiedy przyjdzie?”.

No cóż wracając do lęku, to po prostu boję się Boga, bo mu nie ufam i moim zdaniem to jest ta belka, o której Chrystus mówi w Ewangelii, która tkwi w moim oku. Brak zaufania brak wiary i co za tym idzie brak miłości do swojego Boga. No i idąc dalej brak miłości do siebie i do bliźniego. A szatan wpaja spokojnie i konsekwentnie i na każdym kroku, że mój obecny stan - a powiedziałbym, że jest to stan Jezusa obdarzonego z szat z otwartymi ranami - to wina Boga. Miewam pretensje do Boga, który nie jest autorem żadnego zła, żadnej choroby, grzechu, nałogu i tak dalej. I powtarzam sobie: Bóg nie jest autorem żadnego zła. I jeszcze raz powtarzam: Bóg nie jest autorem żadnego zła. Autorem zła jest szatan, który doskonale wie co jest największym złem, że to nieufność i w konsekwencji bunt przeciw Bogu.

Mam wrażenie, że dziś chodzę i dużo energii wkładam w to, żeby wyciągać żdźbła z mojego oka, a także z oczu bliźnich. Jak nas bolą nasze żdźbła, upicie się, kłótnia, różne świństwa. Jak bolą mnie grzechy, które w moim przekonaniu są poniżające i wstydlive i warto jeszcze raz powtórzyć, że w moim przekonaniu. I co się okazuje, że to ja Krzysiek przetrącony czuję wstyd swoich żdźbeł, a mówiąc o tym, że Bogu nie ufam, że go nie kocham i Go nie słucham, mówię to całkiem bez wstydu i bez jakiegokolwiek żalu i poczucia winy. W ogóle nie mam poczucia kalibru tego korzenia zła, a idąc dalej w tą myśl, to

wyciągam te żdźbła bardziej z lęku przed Bogiem niż z miłości, a szatan i mój egoizm tylko takiej sytuacji dopingują.

Jak idę do spowiedzi i mówię: nie ufam Bogu i mam do niego pretensje to przeważnie nie słyszę żadnej radykalnej nauki. A jak idę i mówię że coś spieprzyłem, wkurzyłem się, itd. to zaraz reprimenda. To jest tylko moje subiektywne zdanie, ale mam wrażenie że wszyscy w jakiś sposób jesteśmy zniewoleni wyrywaniem żdźbeł i powierzchownością. Żyjemy dobrze, albo powiem: żyję dobrze, a żyje w lęku, bo z różnych przyczyn, zranień, przeżyć, tego co wyniosłem z rodzinnego domu i o tym co już pisałem, nie ufam Bogu i mam jego zły obraz i w konsekwencji się go boję. Takie życie jest powierzchowne, lukrowane i pudrowane, czyż nie prawda!?. Czyli żyję w grzechu nieufności, a jak grzech to też lęk i chowanie się przed Bogiem. Bóg woła „Adamie gdzie jesteś?”. Mogę powiedzieć, że od tego lęku pochodzą wszystkie następne.

Wchodząc rzeczywistość odejścia od Boga, odwrócenia się od Niego, a dzieje się tak często w moim sercu. Oznaką tego jest właśnie lęk, bo brak mi oparcia się na skale, którą jest Chrystus. Nie mam się na kim oprzeć, bo uparcie dążę do samodzielności i samowystarczalności jak syn marnotrawny to jest mocniejsze ode mnie. Grzech jest mocniejszy ode mnie i w tym stanie już pojawiają się lęki przeróżnego rodzaju, najczęściej są to zbytnie troski o to co będziemy jedli i co będziemy pili, a Jezus mówi przecież poganie o to zabiegają i się martwią. W tym momencie już staje się poganinem, który chce pojąć swojego Boga, aby był do mojej dyspozycji, aby pomógł mi wypełnić moją wolę, aby w jakimś sensie dał mi swoje dary, swoją część majątku i abym mógł żyć tak jak sam chcę. Oczywiście korzeniem takiego zachowania, albo takiej podstawy jest zwątpienie w dobroć i przychylność Boga, w konsekwencji brak zaufania, który wraca jak bumerang.

Innym objawem mojego braku zaufania jestem powiedział „remanent”, inwentaryzacja i od razu przyszedł mi na myśl król Dawid, który zaczął liczyć swoją potęgę wojskową. Oczywiście zrobił to na prośbę Boga, ale „serce mu zadrżało”. Może właśnie Bóg chciał obnażyć jego słabość, pokazać co ma w sercu. Zadrżało serce Dawida czyli poczuł lęk, jakieś zakłopotanie, które go przerosło, w swoim odczuciu i na swoim przykładzie powiedziałbym, że poczuł się bardzo mocny i potężny, poczuł jak dużo od niego zależy. W sercu oparł się już na swojej sile, zaufał tym wszystkim darom Bożym, a nie samemu Bogu. W tym miejscu znowu na myśl wraca syn marnotrawny, który prosi o swoją część majątku i chce się stać niezależny od Ojca. Wtedy jak zaczynam liczyć, jak zaczynam siebie pocieszać dobrem w moim życiu i trąbić co to ja nie zrobiłem zaczynam już odchodzić. Powiedziałbym że przestaje żyć w łasce i być tym kim jestem, a Bóg przestaje być moim Bogiem. Oczywiście to jest grzech bałwochwalstwa, o którym tak dużo mówi Bóg w Piśmie Świętym. I mam wrażenie też na własnym przykładzie, że mało takich śmiałków, którzy biorą pod uwagę że to Słowo jest skierowane do nich albo konkretnie do mnie. Całe Pismo Święte jest skierowane do mnie i to jest język miłości i troski Boga o mnie. Ale czy ufam i czy pozwalam, aby Bóg mnie kształtował i stwarzał według Jego woli i zamiarów? Jezus przychodzi i krzyczy z miłością, upomina i pociąga do siebie. Bywają to trudne mowy, a egoizm i pycha nie lubią zmian i nowości, nie lubią zmian i nowości bo to oznacza wysiłek, nie tyle wysiłek zmiany postępowania, ale przede wszystkim wysiłek poddania się Bogu, wysiłek duchowy, który najpierw oznacza utratę swoich przekonań i swoich planów. Droga

do Jezusa to droga przede wszystkim strat; „Kto chce zachować swoje życie straci je, a kto straci życie z Jezusa i Ewangelii, ten je zyska”.

Właśnie po tylu latach zdawałoby się po ludzku straconych, zaczynam odkrywać w sobie tę miłość Jezusa, która poprzez przegrane, straty, wyrzeczenia, zranienia zaczyna jaśnieć w moim sercu, a jest to bardzo delikatne niepozorne światło, którego główną oznaką jest pokój w sercu. I takie momenty w moim życiu, pogodzenia się z marnością ludzkiej egzystencji na tym świecie, to czas spotkania się z moim Panem i Bogiem. Jest to spotkanie bez słów, próśb, bo w takich momentach wszystko na czym mi tak zależało jeszcze przed chwilą staje się małe i bez znaczenia. Święty Paweł by powiedział: „Wszystko uznaję za śmieci byleby pozyskać Chrystusa”. I po tylu latach, kiedy to Bóg w swojej miłości przekonywał mnie do tego, abym mu zaufał, abym nie bał się Krzyża, cierpienia, strat, samotności, smutku, niezrozumienia itd. zaczynam coraz bardziej Mu ufać i wierzyć, że to wszystko co do tej pory w tym co piszę nazywałem stratą i przegraną po prostu jest zyskiem właśnie dlatego, że jest krzyżem.

Krzyż jest w centrum zbawienia, a ja tak często szukam łagodniejszej drogi, która prowadzi do zguby. Pójście na przepadłe za Chrystusem na pewno oznacza krzyż, który odstręcza, który nie jest wpisany w naturę ludzką właśnie poprzez grzech. Dodatkowo szatan wpaja lęk przed krzyżem, wpaja lęk przed Bogiem, który daje krzyż. Bóg nie daje Krzyża, krzyż leży w zasięgu mojej ręki w pobliżu i krzyż jest dlatego, że jest grzech. To właśnie krzyż jest odpowiedzią Boga na grzech. Kontemplując w tym momencie krzyż czuję uniesienie i wielką wdzięczność, śmiem nawet powiedzieć że jest to miłość do Boga, którą otrzymuje poprzez Chrystusa. I właśnie ten dar miłości, którą otrzymuje pozwala dać odpowiedź Bogu, że chcę wziąć krzyż i to jest odpowiedź na mój grzech, ale także na grzech moich bliźnich.

„Już was nie nazywam sługami, ale przyjaciółmi, bo sługa nie wie co czyni Pan jego.” Mój Pan zbawia świat i odpuszcza grzechy, usprawiedliwia, aby nikt nie zginął. Mój bliski przyjaciel to robi, to cóż ja mam robić, chcę mu pomóc. Im bardziej poznaję siebie swoją małość i grzeszność, tym bardziej mogę mu pomagać. Pozyskuje sobie braci poprzez to że doświadczam swojego grzechu. Doświadczam wielkości zła i to czyni mnie pokornym. „Jeżeli cię nie umyję nie będziesz miał udziału ze mną”, mówi Jezus do Piotra w Wieczerniku. Wiem z czego mnie Jezus obmywa i to jest moim argumentem przed Bogiem, aby wstawiać się za braćmi ,nawet nieprzyjaciółmi, albo bym nawet powiedział ,że szczególnie za nieprzyjaciółmi. Jeżeli odkrywam w swoim sercu bunt, nieprzyjaźń do Boga i to że czasami bardziej kocham grzech niż Jego i przychodzę proszę o miłosierdzie uznaje i wyznaje swoją winę, Chrystus mi odpuszcza. To dlaczego nie udzieliliby łaski każdemu kto o nią prosi?. Jezus czeka na mnie z sercem pełnym miłosierdzia, więc dlaczego nie czeka na każdego nawet najgorszego złooczyńcy. Każdy kto chce przyjść do miłosierdzia już w jakimś stopniu musi wejść w logikę Krzyża. Wysiłek pokonanie siebie, wstydu i lęku, otworzenie swojej hańby odstręcza, jak już wcześniej napisałem i natura ludzka już się buntuje, egoizm chcę iść na łatwiznę, szatan pokazuje wiele dróg, które nie przewidują upokorzenia, które nie przewidują Krzyża.

Tak więc im większe mam światło na swoją grzeszność tym, nie mam żadnych argumentów, aby czuć się lepszym od kogokolwiek. Im więcej doświadczam miłosierdzia, tym więcej mogę to miłosierdzie okazywać innym. Wniosek z tego taki, że to nie moja

miłość i miłosierdzie, ale Tego który to miłosierdzie mi pierwszy okazał. Dlatego że sam przechodziłem i przechodzę drogę poznawania siebie tego kim jestem, mogę się podzielić tym, że to droga trudna, ale też bardzo wielka przygoda, droga na której doświadczam wiele miłosierdzia. Poznanie siebie to praca, którą wykonuje Słowo Boże we mnie, Słowo które mnie zna i wie co mam w sercu. Poznanie siebie to trud który wymaga wiele odwagi, modlitwy, rozmów z mądrymi ludźmi, mam na myśli kierowników duchowych. Jednak co najważniejsze trzeba porzucić wszelkie wyobrażenia o sobie i przekonania. Trzeba zawsze zostawiać stare przekonania, aby poznawać nowe. Ważne jest, aby nie przywiązywać się do obrazu Boga jaki noszę w sercu, aby móc odkrywać ciągle na nowo Boga i wierzyć w Boga który przekracza wszelkie wyobrażenia, znać swoje ograniczenia i małość przed Bogiem. Nie wiem czy odkryję jeszcze dużo prawdy o sobie. Jedno wiem, że im bliżej światła tym więcej widać. Grzesznikiem byłem i jestem. Nie mówię tego dlatego że o tym wiem, ale doświadczam grzechu, odchodzenia od Boga i grzech jest mocniejszy ode mnie. Mam wady, rany jedne zagojone, inne ciągle się otwierają. Jednak najważniejsze jest to, aby przychodzić do Boga taki jaki jestem, aby przyjmować siebie takim jakim jestem, aby niczego nie spychać i nie odpychać od siebie, bo to ja prawdziwy ja, nie wymyślony niepudrowany, prawdziwy, taki jaki jestem nic dodać i nic ująć. Jeśli tak przeżywam siebie to jestem wolny, wolny od tego kręcenia się wokół siebie, ja które ciągle próbuje być takie mądre, takie piękne, ale pełne lęku. Natomiast ja prawdziwe to wolność i prawda, to droga bo zawsze jeszcze jest coś do zrobienia, bo nie jest idealnie. Prawda to też i życie, bo prawdziwe Ja to Chrystus i spotkanie z Nim w Jego uniżeniu. Jezus przyszedł po mnie, aby mnie zaprowadzić do domu Ojca. Uniżył się do mojego poziomu. A czy ja potrafię uniżyć się do każdego poziomu?

Wchodząc w logikę Krzyża odkrywam jak wielką łaską chce mnie obdarzyć Bóg. Konsekwentnie i z wielką miłością proponuje i zachęca do brania Krzyża każdego dnia, a ja ciągle próbuję omijać krzyż, ominąć to co trudne we mnie, w moim sercu i otoczeniu. Chciałbym tym rzucić odepchnąć bo to upokarza, bo krzyż upokarza. A Jezus mówi: weź to wszystko, weź to swoje nic znaczące życie. Weź nie bój się i mało tego proponuje, abym nie pragnął już niczego tylko Krzyża i jest to propozycja miłości osobowej, którą jest Chrystus. Jest to propozycja nie tylko na życie doczesne, ale na całą wieczność. I znów zadam sobie pytanie: czy to nie przeraża? Po ludzku przeraża, ale tu chodzi o moje szczęście.

XI. PRZYBICIE DO KRZYŻA. Zgoda na cierpienie i miłość.

A więc otwarcie się na miłość, otwarcie się na drugiego człowieka, może oznaczać cierpienie. Jezus się otworzył i co z nim zrobiłem, co z nim zrobił człowiek. Dziś wydaje mi się, albo po prostu twierdzę, że nie wszystko we mnie zagojone czy uzdrowione i wiele we mnie lęku, wiele też nieufności. Najbardziej bolą rany, które zostały zadane przez ludzi od których spodziewałem się miłości, od najbliższych. Człowiek zraniony przez swoich rodziców, albo żona zraniona przez męża, tego który ślubował jej miłość najbardziej cierpi. Jak teraz uwierzyć komukolwiek w dobre intencje, jak uwierzyć Bogu że kocha bezinteresownie. Dlatego niesłusznie przypisywałem zło Bogu, bo trudno uwierzyć w Jego dobre intencje. Jest też we mnie mechanizm wycofywania się z relacji jak doświadczam

zranienia i zamykania się w sobie. Właściwie na dziś wydaje mi się, że poznałem siebie i bardzo dużo we mnie ograniczeń, a najbardziej ogranicza mnie lęk. Przeżywam coś w rodzaju stagnacji, nie ciągnie mnie do działania i nie mam pomysłu na działanie, tak jakbym stracił wenę twórczą i pomysł na życie. To co zacząłem, to co miało mi dać radość i spełnienie jak na przykład pisanie tej książki odstawiłem, a jak próbuję coś napisać zupełnie nie mam pomysłu, albo mam po prostu pustkę w głowie i bardzo trudno to co przeżywam ująć w słowa. Z drugiej strony dobrze mi w tym nic nierobieniu, albo robieniu tylko tego co konieczne, bo wydaje mi się że dotychczasowe działanie wpływało z przymusu. Cały czas coś musiałem, aby coś osiągnąć, aby na coś zasłużyć, a tym czego naprawdę pragnie moje serce jest miłość, prawdziwa Boża miłość, nie ludzka miłość, ale Boża. Teraz tak myślę że cała moja historia opisana w tej książce, to dążenie do ludzkiej miłości, dążenie do spełnienia które zrozumieć, które da mi satysfakcję, da radość i poczucie osiągnięcia jakiegoś celu. Coraz bardziej rozumiem dzisiaj kompletną porażkę tych pomysłów na życie, szlachetnych, dobrych ale jednak ograniczonych i bardzo przyziemnych, opartych na żądzy, zmysłowości, pomysłów które będą miały wartość w moich oczach i oczach innych ludzi. Rozczarowałem się tym wszystkim, sobą, swoimi pomysłami, nawet swoim rozeznaniem. Każda próba podjęcia jakiegoś działania skazana jest na porażkę. Pisałem już na pewno o takim swoim takim stanie, że wszystko z góry jest skazane na porażkę. Jednak teraz czuję w tym wszystkim wolność, pokój i nadzieję, że Jezus jest z tym ze mną i czuję z Nim w tym bliskość, która zaspokaja wszystkie moje potrzeby. Czuję się zaspokojony w sprawach materialnych, w potrzebach życiowych, pieniądzach, pracy. Przestaję się właściwie martwić o to czy braknie pieniędzy, że stracę pracę. Wśród tego lęku o byt pojawiła się wiara i zaufanie do Boga, który doskonale wie czego mi potrzeba i nie pozwoli abym zginął ja i moja rodzina. Pierwszy raz w życiu zacząłem odczuwać i wierzyć, że ktoś jest mi życzliwy i autentycznie troszczy się o mnie bez względu na moje działanie i zasługi, ale po prostu troszczy się o mnie bo jestem tego wart. Spada wielki ciężar tych trosk ze mnie, a ja nie umiem jeszcze do końca żyć bez tych obciążeń i czasami próbuję wracać do starych schematów nie wierząc, że tak można żyć. Czy wolno mi żyć bez obciążeń? Czy wolno mi żyć beztrudno i w radości bycia karmionym, ubieranym i zaopiekowanym.

Taka sytuacja bliskości z Jezusem daje mi też poczucie zaspokojenia emocjonalnego. Zacząłem odkrywać a właściwie widzę moją bliskość z Jezusem, której tak długo szukałem, że mogę z Nim to przeżywać w relacji, w której czuję się kochany. Jest to miłość zupełnie inna niż się spodziewałem. Ta miłość której zacząłem coraz częściej doświadczać, to miłość oparta

nie na sile blasku i chwale, ale na ubóstwie, odrzuceniu, zranieniu, słabości i bezsilności. Właśnie moje zranienia i skrzywdzenie przez najbliższych, odrzucenie, niezagojone żywe rany stały się miejscem doświadczenia jak Jezus staje się człowiekiem, staje się mną, a ja dzięki Niemu staję się dzieckiem Bożym. Niesamowita, niespodziewana, niepojęta logika Krzyża Chrystusowego. A ja myślałem, że to już koniec, że kompletna porażka, a to okazuje się początkiem prawdziwego powierzenia się i zaufania Bogu, który zaczyna działać bo ja przestaję.

Otwarcie się na Boga, podjęcie przeze mnie ryzyka pełnego otwarcia się na logikę Krzyża wiąże się z ogromnym lękiem, bo to spotkanie dokonuje się właśnie na Krzyżu.

Jak już wcześniej wspomniałem otwarcie się oznacza wielką ciemność, bo to wielka niewiadoma dla mojego ludzkiego myślenia, otwarcie się w wielkim cierpieniu, beznadziei, depresji i umieraniu. Pan Bóg zamyka wszelkie możliwości wyboru pokazując wartość ludzkiej miłości, pokazuje jaka ludzka miłość jest marna i małosłowna oraz interesowna. Czuję teraz i wierzę, bo Słowo Boże mnie przekonuje, że zaczynam się znajdować w centrum Miłości. Zmęczony próbami nauki kochania Boga siebie i bliźniego, oczywiście nieudanymi próbami mam wrażenie, że znalazłem się w sercu miłości.

Blisko miłości czyli blisko Serca Jezusowego pełnego otwartości i miłości. I nic nie mogę nikomu dać, bo nie mam, stałem się po ludzku solą zwietrzałą, bez smaku, bez miłości. Z siebie nie potrafię już nic wykrzesać, nie potrafię bo nie mam i już coraz rzadziej próbuję, bo nie tędy droga. Moje działanie, moja miłość, moje ciało i ludzkie myślenie zostało ukrzyżowane, zostałem przybity do krzyża wraz z Jezusem. Zostałem postawiony w sytuacji, że mogę jedynie przyjmować miłość od Boga, który wszystko może.

„U Boga nie ma nic niemożliwego”. Abraham prawie obumarły człowiek mógł zrodzić potomstwo liczne jak ziarenka piasku. Jeśli Elżbieta mimo swej starości poczęła to dlaczego ja człowiek którego ręka uschła i miłość zwietrzała nie może kochać?

Chciałbym też wspomnieć o próbach miłowania Boga, bliźniego i siebie, podkreślę swoich próbach. I nie dzielę się tym dlatego, aby tego nie próbować, ani nie uważam tego za jakiś błąd. Próby kochania uważam jako coś potrzebnego co mnie po prostu spotkało w drodze na pewnym etapie mojego życia. Podstawowym błędem mojej miłości było to, że ta miłość była skoncentrowana na wykonywaniu zadań, powierzonych czynności, a nie na bliskich relacjach. Miłość nikogo nie pomija. Nie może nawet pominąć siebie. Miłość nikogo z niczego nie okrada.

Na początku mojej drogi trzeźwienia i nawrócenia, usłyszałem od osoby z której zdaniem się liczyłem że szanowałem, że mógłbym iść na studia i zostać terapeutą uzależnień i pomagać ludziom. Byłoby to na tamten czas wyzwanie życiowe szlachetne i bardzo dobre. Myślałem też wtedy, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, no bo mógłbym pomagać ludziom i zarabiać na rodzinę, ale wtedy jeszcze nie miałem uporządkowanych relacji z żoną i z dziećmi. Długo trzymało mnie to pragnienie, jednak dzięki Bogu i ludziom udało się zostać w domu na swoim miejscu i nie okraść z mojej obecności żony i dzieci, które na tamten czas najbardziej potrzebowały ojca. Pragnienie okazało się pokusą, a obecność w domu bez poklasku, bez robienia rzeczy wartościowych w oczach ludzkich okazało się wygraną. Zawsze trzeba coś stracić żeby zyskać. Już wspominałem, „Kto straci życie z powodu Chrystusa ten je zyska”. Straciłem miłość ludzką, działalność społeczną, zyskałem przybicie do Krzyża w domu, aby realizować swoje powołanie w domu, w małżeństwie i rodzinie.

Zresztą we wspólnotach religijnych czy innych spotykałem ludzi, którzy uciekali z domów, szli za iluzjami pokusami i tracili relacje z najbliższymi i z Bogiem. Pobiegli dawać świadectwa, zaczęli wyjeżdżać z domów. Takie rzeczy są pochwalane we wspólnotach. Spotykałem się z takimi propozycjami i jak już wspomniałem dzięki Bogu i ludziom i rozeznaniu nie pobiegłem na skróty i strzępami urojonej miłości, którą co najwyżej można nazwać miłością ludzką. Taka atmosfera i takie podejście nie pomagało, a wręcz przeszkadzało w znalezieniu swojego miejsca i swojego powołania w życiu. Mówiąc jaśniej apostołstwo na skróty, bez rozeznania, odciągało mnie od realizacji powołania bycia mężem i

ojcem. Atmosfera kompleksy plus pokusy powodowały i powodują jeszcze do dziś zamieszanie w moim podejściu do życia, które na dziś śmiało już mogę nazwać Wolą Bożą.

A więc miłość jest z Wolą Bożą, tu i teraz. Wypełnianie z miłością swojego powołania które jest takie proste i oczywiste. Miłość na wzór Jezusa Chrystusa, który wypełnia swoje powołanie, aby zbawić każdego człowieka, aby nikt nie zginął, to jest Wola Boża. Więc idąc jeszcze dalej, to miłość której pozwalam się posiąść zupełnie, zupełnie stracić siebie, dla miłości osobowej którą jest Jezus. Wolą Bożą jest nie tyle naśladować Chrystusa, co pozwolić się Jemu przeniknąć i stać się Jezusem. Żeby tak się stało trzeba pozwolić Bogu przejąć inicjatywę nad życiem. Trzeba zrezygnować z kontroli, oddać ją zupełnie Bogu, który chce kochać chce się dawać bez względu na odpowiedź człowieka. Uczestnicząc w tym otwarciu się na miłość podejmuje razem z Chrystusem wielkie ryzyko. Stając dziś w tym miejscu uzmysławia sobie czym a właściwie Kim jest prawdziwa miłość. Widzę najpierw swoją małość i brak miłości w sobie, widzę wielki brak rażący brak miłości w sobie i to że nie będę nigdy kochał boską miłością. I tę prawdę muszę przyjąć jako coś co pomoże mi uwierzyć „że nie potrafię kochać sam z siebie. „Beze mnie nic uczynić nie możecie”, a więc nic nie mogę. Jedynym ratunkiem aby kochać trzeba prosić i prosić „Nie dozwól Panie odłączyć się od Ciebie”. Bez Jezusa się nie zbawię, a tym bardziej nie wypełnię powołania do bycia kochanym i aby kochać. Powiedziałem już że moje powołanie jest takie proste i oczywiste.

Właśnie małżeństwo, ale z Jezusem i w Jezusie nabiera niebywałych rozmiarów miłości i oddania się drugiej osobie. Pisałem już wcześniej o moim powrocie do domu i małżeństwa, o tym że trzeba niejako przymusić siebie do bycia na swoim miejscu, że trzeba przymusić siebie do robienia tego co do mnie należy, do wypełniania swojego powołania. Wspomniałem też o tym że do końca z tego stanu nie byłem zadowolony, no bo lepiej by było pędzić życie bardziej beztrudno, ale przyjmowałem to wypełnianie woli Bożej jako mój obowiązek, który powinienem spełniać i spełniam. Była i jest to bolesna operacja, bo trzeba było zrezygnować z siebie ze swoich pomysłów na życie mimo, że niektóre wydawały się takie dobre i szlachetne. Od tamtego czasu czekałem na coś co mógłbym nazwać miłością, a to nie przychodziło. Czekałem na coś co pozwoli mi zacząć być usatysfakcjonowanym czy spełnionym. I tak ciągle czekałem, aż wreszcie w tym czasie zaczynam dochodzić do przekonania, że już nigdy nie będę usatysfakcjonowany ani spełniony, że to zupełnie nie o to chodzi. Jezus nie przyszedł na świat po to, aby się spełnić, aby czuć satysfakcję, ale po to aby dać siebie, dać siebie, aby zbawić i dać siebie, aby dać ludziom szczęście. Niestety zaryzykował bardzo i skończyło się okrutną męką i śmiercią krzyżową.

Miłość to dawanie siebie. A skoro siebie oddaję Jezusowi to bardziej ściśle, to dawanie Jezusa. Miłość to przyjmowanie Jezusa i pozwalanie, aby On dawał mnie moim bliźnim. Nie ma w ogóle miejsca na myślenie o swojej satysfakcji i spełnieniu. Tu jest tylko miejsce na to, że trzeba ufać do końca Bogu i zrezygnować ze swojej woli . Po ludzku przerażające, rezygnacja z siebie i krzyż grozi odrzuceniem, cierpieniem, nie tyle grozi, ale to jest pewne, że to mnie spotka. Dlaczego? Bo Jezusa to spotkało i ciągle spotyka.

Chyba dojrzewam do tego, aby oddać się zupełnie Bogu, aby pozwolić się przybić do krzyża z przemyślanego wolnego wyboru. Dojrzewam do tego, aby pozwolić się przybić do krzyża i być w moim doczesnym domu i małżeństwie, w którym to ja świadomie ślubuję: miłość, wierność i uczciwość. Czy jestem w stanie ponosić ciągle ryzyko wykorzystania,

skrzywdzenia, poranienia. Oczywiście że nie jestem, bo jestem człowiekiem grzesznym, ale Jezus jest w stanie ponosić to ryzyko. Mogę się zgadzać na to, aby brać udział w Jego Miłości. To On jest początkiem i końcem wszystkiego, jedynym powodem, jedyną inspiracją, a wszystko co się dzieje, chcenie i zgoda jest łaską i Jego wyborem. Oto wielki przykład miłości Jezusa, prawie nagiego odartego ze wszystkiego, poronionego, który ma otwarte ręce, a przede wszystkim otwarte serce na Boga, na Ojca, który wszystko może i który jest Miłością.

„Wytrwajcie w miłości mojej” mówi Jezus. „Kto trwa we Mnie, a ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić”.

Z łaski stoję dzisiaj w punkcie wolnego wyboru i ten wybór jest dla mnie zawsze trudny, to dzisiaj jest każdego kolejnego dnia. Pragnę i proszę Boga, aby te wybory były właściwe, aby On zawładnął moim życiem. Bardzo często moje decyzje słowa wynikają z pragnień, które mieszkają w moim ciele i są mocniejsze ode mnie, ale wtedy wspominam słowa Jezusa „Mieście odwagę Jam zwyciężył świat”.

XII. JEZUS UMIERA NA KRZYŻU. Czyli jak wygrać tę walkę?

Napiszę trochę jeszcze o moich pragnieniach, o pragnieniach pięknych szlachetnych w moim sercu. Będzie też o marzeniach, o szczęściu, spełnieniu, o heroicznej miłości, którą noszę bardzo głęboko w sercu.

Zostałem odarty z iluzji i nie wiem co ze mną będzie. Właściwie wszystko przegrałem, tak mi się wydaje, patrząc obiektywnie po ludzku klęska, wszystko stracone, obietnice nie spełnione. Czyżby Bóg nie mówił prawdy? A może to mój ludzki sposób na szczęście jest zbyt ograniczony i zbyt ciasny.

Od chwili kiedy pierwszy raz doświadczyłem realnej bliskości Boga, pojawiło się pragnienie w moim sercu, aby się tym dzielić, aby Dobra Nowina której doświadczyłem na własnej skórze, we własnym sercu była głoszona. Jednak bardzo szybko przekonałem się, jak trudno jest pociągnąć za sobą kogokolwiek. Jedyną i aż jedyną osobą, która pod wpływem moich słów świadectwa doświadczyła żywego Boga, jest moja żona. Dziś po tylu latach coraz bardziej się przekonuję jak wielka to łaska i jak małe są moje słowa, jak wielkie działanie Ducha Świętego. Od początku głęboko w sercu słyszałem to wezwanie do bycia świadkiem i chętnie z radością dzieliłem się i cały czas dzielę się świadectwem bycia z Jezusem. Wezwanie do „łowienia ludzi” słyszę przez cały czas, które jest jednocześnie wezwaniem do bycia ojcem wielu. Pamiętam te dni kiedy na wezwanie Boga ruszyłem w podróż duchową, ale też i realną. Doświadczyłem miłości, której mi tak całe życie brakowało, więc byłem gotów i w głębi serca dalej jestem, aby wyjść na każde wezwanie mojego Pana i Przyjaciela.

Mam wspierać żonę i dzieci, wspierać rodzinę, właśnie tutaj w mojej rodzinie mogę być sobą, doświadczać przebaczenia, płakać nad sobą i próbować przyjmować drugiego takim jakim jest tak jak Chrystus. I to powołanie jest moje, bardzo moje, proste i zwyczajne, tu uczę się kochać, a przede wszystkim w bliskości w relacji z drugą osobą poznaję siebie, poznaję kim jestem, jakie mam braki, ale też jakie mam talenty. To w rodzinie i w

małżeństwie doświadczam odzierania z iluzji i pokusy bycia kimś lepszym niż rzeczywiście jestem. Tak dzień za dniem praca, modlitwa, codzienne zmaganie, rozmowy, docieranie się, poznawanie. Jestem szczęściarzem, bo to jest wielki dar, jednak w moim sercu mam pragnienie, aby to poszło dalej, aby dzielić się świadectwem działania Boga we mnie, w naszym małżeństwie i w naszej rodzinie. Chcę też poznać, kim jestem w Kościele, kim jestem we wspólnocie, kim jestem w parafii, jakie jest moje miejsce i do czego jestem powołany, a co jest nieuporządkowanym pragnieniem, czy pokusą. Chcę nieść Chrystusa nie tylko swojej żonie i dzieciom, ale też dalej.

Jak już wspomniałem czasami pracuję dla Chrystusa poza domem rodzinnym. W pewnym czasie proszono, albo raczej pojawiała się potrzeba dawania świadectwa. Czasem wyjeżdżałem i dzieliłem się z jakąś grupą osób trzeźwym życiem i tym jak Chrystus uczy mnie na nowo żyć. Potem też zaczęły się pojawiać osoby, które potrzebowały sponsora, to znaczy człowieka, który będzie towarzyszył im we wchodzeniu w 12 kroków. Pamiętam jak wtedy pojawiała się we mnie radość z tych spotkań i z tych ludzi. Miałem pragnienie, żeby pomagać bliźnim i długo, bardzo długo nic się nie działo, aż tu nagle cztery osoby się zgłosiły właśnie tyle, aby nie zaniedbać tego co jest w domu. Rozeznając wtedy, a rozmawiałem z żoną i z kierownikiem duchowym, rozeznałem, że to pochodzi od Boga, że to wielki dar i duża rzecz pomagać sobie i innym. Jednak po niedługim czasie wszystko się rozpadło. Przykładałem się do tych spotkań, dawało mi to radość, spełnienie, próbowałem się wczuć w to, co przeżywa druga osoba i słuchać. Zresztą najbardziej uczyłem się słuchania w domu i wiedziałem, że człowiek ma zacząć się rozwijać bez nacisku, w wolności, z własnej inicjatywy.

Nie trwało to długo bo przestałem być potrzebny i pojawiała się pytanie co teraz. Zawsze odpowiedź była taka sama: proste zwyczajne życie w domu bez upiększeń, ukryte i szare. „Pan dał, Pan zabrał”.

W pewnym czasie, też z Woli i łaski Boga zacząłem pomagać w dniach skupienia na Górcie. Pomagałem w przygotowaniu programu, brałem udział w tworzeniu tych dni od strony duchowej. Pisałem drogi krzyżowe, medytacje i właściwie te dni jeszcze może się odbędą, ale mam wrażenie, że to może być już koniec, koniec w tworzeniu rekolekcji. „Pan dał, Pan zabrał”. Jakiś czas temu też na modlitwie, na adoracji, zacząłem mieć natchnienie, aby zorganizować w mojej parafii rekolekcje dla mężczyzn. Zacząłem rozeznawać, zapytałem kierownika duchowego, odpowiedź brzmiała robimy. Więc do roboty: program, jak zwykle napisałem Drogę Krzyżową dla mężczyzn i medytację o pomieszczeniu ról mężczyzny i kobiety w małżeństwie i rodzinie. Rekolekcje się odbyły, były dobrze przygotowane omodlone przez siostry zakonne, przez nas, przyjechały trzy osoby razem ze mną „Pan dał, Pan zabrał”. W tym wszystkim, sednem jest to, że za każdym razem jak coś takiego się pojawia, to w moim sercu budzi się nadzieja na spełnienie się, na spalenie dla kogoś i czegoś i za każdym razem po fiasku uznaję, że to nie to, że to niepotrzebne. „Próżno się trudziłem, na darmo i na nic zużyłem me siły”.

Obietnica "łowienia ludzi" dla Pana się spełni. Bóg jest prawdomówny jednak fakty zewnętrzne zaprzeczają temu wszystkiemu, zostaje tylko wiara, która często bywa zachwiana. Podobnie było przy śmierci naszego dziecka. Żona była w stanie błogosławionym i myślałem, że przestanę już marzyć i pragnąć o „łowieniu ludzi” dla Pana, bo teraz będę miał co robić w domu i bardziej spełniać się w domu, jako mąż i ojciec. Zresztą obietnice Boże

wybrzmiewają na dwa sposoby „ludzi będziesz łowił”, albo „synowie twoi jak sadzonki oliwki dookoła twojego stołu”. A więc ta obietnica po śmierci naszego dziecka też po ludzku została zaprzeczona, jakby niespełniona. Jeszcze przez jakiś czas wierzyłem, że będziemy mieć następne dziecko i że obietnica spełni się w sposób ludzki, ale tak się nie stało. Wtedy też po stracie dziecka, syna, sam wypowiedziałem te słowa, „Pan dał, Pan zabrał”. To nie jest moje, nic nie jest moje wszystko należy do Pana. Z pragnień i marzeń zostało małżeństwo, wielki dar bo jest to dzieło Boga, zostały też dobre relacje z dziećmi. Została oczywista szara zwyczajność, proste życie w domu bez fajerwerków, ale dalej została też obietnica Boża i pragnienie serca i wiara, że Bóg jest prawdomówny.

Usłyszałem kiedyś, że jak Bóg ci coś zabiera, zawsze daje coś lepszego. Po ludzku zostałem odsunięty, pominięty, jak „sprzęt wyrzucony”, ale tu jest to nasze spotkanie dwóch serc na Krzyżu, serc, które pragną kochać i dawać siebie. Jezus został wysłuchany dzięki swej uległości na krzyżu, chociaż czuł się synem, był i jest Synem. Uległość Bogu Ojcu to właśnie jedyna droga do zwycięstwa. Zgoda na cierpienie i śmierć wiara „wbrew nadziei”. Jako człowiek, syn ojca w niebie, Krzysiek, odkrywam w sobie to wezwanie i zaproszenie w wolności do bycia w jedności z Jezusem w Jego śmierci. Odkrywam i coraz bardziej jestem przekonany, że w jedności razem z Jezusem, jestem w stanie przejść przez życie dobrze czyniąc i w wolności wybierać to, co On wybiera. Boję się, że tracę siebie, swoje życie, że wybierając krzyż i śmierć zostanę pozbawiony wolności, że zostanę zmuszony do czegoś na co nie mam ochoty. Kto by się nie bał, sam Jezus przeżył traumę, trwogę konania w Ogrójcu. Bóg zaprasza do poniesienia ogromnej straty, straty życia, i to już nie jest sielanka. Taki czas to czas próby prawdziwej wiary, czas w którym wychodzą na jaw „zamysły serc”.

Ciemna dolina, ciemna noc, strapienie, próba, na różne sposoby mógłbym to nazwać. Dla mnie ten czas zaczął się jak moje ludzkie możliwości w życiu wiary, formowania siebie, jakby się skończyły. Wysiłek w modlitwie, panowanie nad swoimi słabościami przestał przynosić efekt. Nawet te wysiłki dobrze przeżytej modlitwy, czy medytacji, rozważania Słowa Bożego zamiast przynosić pokój w sercu czy radość zaczęły mnie rozbijać i frustrować. To co pomagało do tej pory, na przykład spotkania z ludźmi, rozmowy z kierownikiem duchowym, spotkania wspólnoty zaczęło powodować jeszcze większy ból, bo przestali mnie ludzie rozumieć i ja też nie rozumiałem co się ze mną dzieje. Nikt mi tego jasno nie wyjaśnił, ani Bóg, ani kierownik duchowy, ani książki. Z tego wszystkiego została tylko jakaś niejasna intuicja, że to zaproszenie Boga do przebycia tego błogosławionego czasu. Jak pojawiała się coś jasnego, Słowo Boże, słowa osoby kierownika duchowego, że to zaproszenie w tą trudną, ale piękną drogę to takie słowa jakby do mnie nie docierały, można sobie było mówić. Po prostu dobre krzepiące słowa nie docierały do mnie, jakby mnie mijało, bo pojawiła się we mnie jakaś bariera nie rozumienia. Rozmawiałem też dużo z żoną, byłem otwarty, dzieliłem się, ale można było sobie mówić. Na nic wysiłki, tyle wysiłku i wszystko stracone, po co to wszystko, takie pytania się pojawiały, ale też pojawiają się do dziś w moim sercu. Dawne wady, sprawy, uczucia zdaje się przepracowane zaczęły wracać.

Zaczęły się pojawiać poważne wątpliwości, że ta cała wiara to jakaś iluzja i mój wymysł, moje pobożne życzenia. Najgorsza była ta niepewność. Na tamten czas było to bardzo trudne mój kierownik duchowy zupełnie mnie nie rozumiał, mówił o wysiłkach, że za mało się wysiłam, że trzeba robić rachunek sumienia, a ja dawno już to robiłem, że trzeba to lub tamto. Najbardziej bolało mnie to, że mówi o tym, co dawno już robię. Uczy mnie

medytacji, a ja już dawno medytuję. Wielkim plusem takiej sytuacji było to, że zacząłem się coraz bardziej zwracać do Boga i pytać, klócić się, drażnić, wypowiadać te swoje biedy przed Nim. W tych modlitwach też nie czułem się do końca wysłuchiwany, czy pocieszany, było to bardzo różnie. Ale starałem się czytać książki duchowe, szukać co się dzieje i z tych różnych źródeł miałem, ale nie jasne przeczucie, że to może być zaproszenie Boga do oczyszczenia, do nocy ciemnej. Gdzieś głęboko w sercu było pragnienie totalnej bliskości z Bogiem. Zresztą w modlitwach Go o to prosiłem, prosiłem o totalną bliskość, na przykład cały rok codziennie, te prośby się zmieniały, ale zawsze każda trwała rok, od rekolekcji ignacjańskich do rekolekcji. Te prośby dotyczyły stopniowo coraz większej bliskości, aż w końcu zjednoczenia, oddania się pod całkowite posiadanie Duchowi Świętemu.

Na jednych rekolekcjach mój kierownik duchowy powiedział wprost, że wydaje mu się, że Jezus zaprasza mnie do zażyłości z Sobą i żebym szedł porozmawiać do kaplicy z Nim o tym. Poszedłem więc do kaplicy, uklęknąłem i bez słowa popłakałem się ze szczęścia. Było to spotkanie się bez słów, serce pragnące bliskości z sercem pragnącym bliskości. Stałem się wtedy gotów, aby zostać poprowadzony trudną drogą, bo ten że kierownik powiedział mi że to będzie trudna droga. Droga poznawania siebie, poznawania swojej małości, rozczarowania się sobą, ból strat, ból odzierania z iluzji, ból odzierania z emocjonalnego przeżywania wiary, ból odzierania z odczuć, uniesień. Wszystko to spowodowało, że zacząłem mieć stany depresyjne, cierpiałem i doświadczałem słabości, doświadczyłem takich stanów, że już po mnie, że umrę, że Bóg mnie opuścił. W takich chwilach modliłem się jak Jezus konający na krzyżu: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił”. A potem: „W ręce Twoje Panie oddaję ducha mego”. Bóg nie dawał odpowiedzi, ale co jakiś czas przychodziło pocieszenie, które pozwalało przeżywać to umieranie.

Przechodziłem wiele lęków. Od lęków o rzeczy materialne, lęki o utratę zdrowia i życia, lęk, że widać tę moją biedę na zewnątrz, że zostanę oceniony i odrzucony. I oczywiście największy Lęk, lęk agonii umierania, konania. Wtedy pociechą były dla mnie słowa świętego Pawła: „Konanie Chrystusa noszę w swoim ciele”.

W tamtym czasie Bóg już dał mi kapłana, który był moim towarzyszem w tej drodze. Jak do niego przyszedłem pierwszy raz, wywaliłem całe serducho przed nim i pomyślałem, jak mnie zrozumie to zostaje, jak nie to nie będę głowy zawracał. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Wrażliwość, poranienia, odrzucenie, stało się błogosławieństwem, bo to wszystko zaczęło mnie zbliżać do Chrystusa cierpiącego, który wie o co chodzi, który stał się człowiekiem, stał się mną, aby mnie zbawić, aby wszystkiego dokonać we mnie. Straciłem dużo zwłaszcza we własnych oczach, doświadczyłem jak te wybory, które wydawały się dobre, jak fatalnie wybierałem, jak wybieram dary Boże, a odrzucam Jezusa zwyczajnego i prostego Boga - Człowieka. Runął fałszywy obraz siebie samego, fałszywej duchowości opartej na emocjach i darach Bożych, fałszywa miłość zwietrzała jest nic nie warta. Wyszło na jaw, jak bardzo jeszcze jestem uzależniony od wpływu rodziców na moje życie, jak jestem zniewolony grzechem, odrzucaniem Boga, a wybieraniem tego co On daje. To poznanie zrodziło we mnie wielką pustkę, ale też depresję i objawy somatyczne. Dzięki Bogu miałem człowieka, który był otwarty na Ducha Świętego i pomógł przejść ten najtrudniejszy czas. Ale powiem szczerze to moje przejście, to moje przeżycie, to moja droga przez śmierć i nikt nie mógł zrobić tego za mnie. I właśnie na dnie tego piekła, w najniższym tego piekła miejscu, znalazłem przejście i zwycięstwo przez poddanie się.

Mówię, że to moje, bo tego nikt za mnie nie mógł przejść. Jezus umarł za mnie i to łaska dana już dawno, jestem zbawiony i nie mogłem zrobić tego sam, to oczywiste. Myślę, że to łaska. Wielka łaska, zaproszenie do współudziału z Jezusem. Z jednej strony poznanie swojej grzeszności, nie ze strony czynów czy słów, bo zdarza się to rzadko, ale poznanie serca, tego co na dnie, poznanie myśli serca. Czasami przypomina to życie na ostrzu noża, a walka idzie o życie i śmierć, czyli o wszystko. Szala na korzyść Boga przeważa się o włos, o jeden akt wiary, o akt zaufania, który jak ten knotek niedogaszony wypływa gdzieś z głębi serca, akt wypowiedziany nie językiem a sercem, sercem zainfekowanym grzechem, pychą, buntem, ale też sercem, w którym odkrywam swoją godność bycia Synem Bożym. To moje serce, w którym rośnie grzech chwast, ale też mieszka Jezus Słowo Wcielone, ziarno, które już kiełkuje rośnie i wydaje owoc nie wiadomo jak i kiedy.

Teraz poznając siebie poznaję coraz większe skrajności, coraz większą pychę, złość wręcz szatański podstęp, przewrotność, ale też poznaję coraz większą swoją godność właśnie w Jezusie Chrystusie, który umarł za mnie i zaprasza mnie, abym szedł tą drogą razem z Nim, jakby nie o własnych siłach, ale o własnych, jakby nie z własnej woli, a z własnej. To poddanie się Jemu rodzi coś w rodzaju lęku utraty siebie, swojej tożsamości. Wydaje się że tracę siebie, ale właśnie coraz bardziej zyskuje swoją tożsamość, dziecka Bożego, syna Bożego. Piszę Syna Bożego bo to Jezus, a największą godność, którą odkrywam to bycie jedno z Nim. I to mózg się buntuje, bo nie może tego pojąć, jak to ja Krzysiek grzeszny zwykły poraniony i nie uzdrowiony chory człowiek, z poranioną psychiką, alkoholik, który nie potrafi kochać, w którego sercu mieszka podstęp?. I weź to człowieku pogódź!. Po ludzku to rzeczywiście niemożliwe, ale u Boga nie ma nic niemożliwego. „Jakże się to stanie skoro nie znam męża? Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni cię, dlatego też to Dziecię które się narodzi będzie Synem Bożym”.

Nowy i stary człowiek, Krzysiek. I Ta od, której wszystko się zaczęło jest cały czas blisko Maryja. Może nie umiem mieć z Nią wielkiej zażyłości, po prostu nie umiem, ale Ona to szanuje Jest ze mną. Ona to wszystko przenika. Ona to szacunek, Ona to cichość, ona to Pokora. Ona wielka Ona, do której sam Bóg ma największy szacunek, a duchy piekielne uciekają. Maryja świątynia Ducha Świętego, Maryja i Duch Święty to jedno. Bunt przeciw Niej, to bunt przeciw Duchowi Świętemu. Jezus zabrania buntu przeciw Niej, bo ją szanuje i „to nie będzie wybaczone”.

Wracając do poddania się, do uległości Bogu, to chciałem się podzielić swoim odkryciem w tej kwestii. Ważnym dla mnie odkryciem. Odkrywam dwa rodzaje uległości wobec Boga, ale też i wobec bliźniego.

Pierwszy to uległość Jezusowa autentyczna na krzyżu „został wysłuchany dzięki swej uległości”. Ta uległość Ojcu na krzyżu odbywa się w relacji, w głębokiej relacji i na pewno też jest to uległość temu co Bóg mówi, a więc uległość słowu Bożemu. Uległość słowu Bożemu, w relacji, w dialogu i wolności, w bliskości. Taka uległość może oznaczać krzyż, śmierć i zmaganie, ale ta uległość podnosi dodaje wartości człowiekowi, pomaga odkryć tożsamość i pomaga odnaleźć swoją inność, swoje miejsce we wspólnocie. Nie muszą być jak inni, mogą być sobą, mogą się tym cieszyć. Podobnie jest między ludźmi.

Ckliwa, litościwa, dobrotliwa, uległość bez wolności i zgody dołuje, zabiera radość z bycia sobą czyli zabiera tożsamość, chce zadawałać innych, niby zapomina o sobie i nie stawia żadnych granic. Taka uległość niszczy, uległość bez relacji niszczy. Mogę ulec, jeśli

Bóg mnie do tego przekona i mam do tego prawo. Jestem wolnym człowiekiem i wszystko co napisałem w tej stacji odbywa się w relacji, w walce o relacje. W relacji z Bogiem nie tracę siebie ulegając śmierci. W prawdziwej miłości nic nie tracę oddając wszystko ze względu na Chrystusa. Ale byłoby to też pychą, jeżeli bym „nie uznawał swojej małości i grzeszności w tym wszystkim. Przynajmniej na tym świecie miłość zawsze jest zrośnięta z egoizmem z interesownością, ale w uległości Bogu można doświadczyć Jego miłości, Jego działania krzyżując swoje namiętności. Życie starego i nowego Krzyśka toczy się cały czas. Jeden umiera drugi już żyje wiecznie.

Stary Krzysiek traci swoje życie, umiera dla aprobaty, dobrego słowa, uśmiechu, pochwały. Stary Krzysiek traci swoje życie dla pieniędzy, sławy, próżnej chwały. Stary Krzysiek traci swoje życie, bo został zmuszony, bo nie umiał powiedzieć nie, bo nie wypada, bo co ludzie powiedzą. I ta śmierć jest nic nie warta, to cierpienie i umieranie i ta uległość nie ma nic wspólnego z miłością. Miłość to wolność i stawianie granic.

Nowy Krzysiek traci starego Krzyśka, zapiera się starego Krzyśka, przyjmuje go i akceptuje, ale go nie słucha. Jest w dobrej relacji ze starym, ale go nie słucha tylko przekonuje go, aby pomagał nowemu Krzyśkowi, który chce słuchać i być w bliskości z Bogiem. Zapiera się, ale się go nie wypiera. Nowy Krzysiek dba o dobrą relację z Bogiem i ze starym Krzyśkiem. Nowy Krzysiek umie rozróżniać dobre relacje, które kierują go w kierunku Boga, od złych które tworzą niepotrzebne napięcia i problemy. W czasie śmierci to definitywnie zostanie rozdzielone. Pozwólcie obydwu rosnąć aż do żniwa.

A gdzie te obietnice!? Obietnice spełnią się na pewno. Spełnią się w bliskości z Bogiem, jedności z Jezusem. Obietnice spełnią się w swoim czasie przez to, co się wydarzy. A wydarzy się, co się wydarzy. Wydarzeniem może być zgoda na bycie bezużytecznym i niepotrzebnym.

Nie wiem. Amen.

XIII. ZDJĘCIE Z KRZYŻA. Ramiona Matki. (Pokora)

Pokora? Zaraz się zaśmiałem i poczułem dziką satysfakcję, bo pomyślałem, że to może być jedyny rozdział życzeniowo teoretyczny „science fiction”. Ale ten śmiech, pokazał mi, jaki jestem malutki. Ale pokora to nie tylko być malutkim, to też bycie kimś wyjątkowym. Tu wkraczam w temat ustawienia się gdzieś w dystansie, aby zobaczyć siebie w dystansie, zobaczyć siebie w całości, całego, barwy czarne i białe, ale też różne odmiany szarości i cieni. Już udało się z tym tematem ruszyć i już przypuszczam, że ten temat właśnie mnie wiele wyjaśni i pozwoli nazwać to, co się dzieje w moim sercu.

Skoro jestem tak obdarowany przez Boga to czyż nie jestem pokorny? „Bóg pysznym się sprzeciwia a pokornym łaskę daje”. Skoro Bóg tyle mi zabrał i wyrwał i tyle jęczałem, czyż nie jestem pyszny? Bóg sprzeciwia się pysznym. Jestem taki i taki. W tym rozdziale pojawia się matka Maryja, która bierze na swoje ramiona martwe ciało Jezusa. Śmierć dokonała już swojego zadania. I właśnie pokora to może być mój stan, kiedy śmierć dokonuje swojego zadania, i „ja” przestaje liczyć, spodziewać się lub oczekiwać czegośkolwiek. Pokora to ten stan, ta chwila, ten czas, że jestem we właściwych rękach, zdany zupełnie na Maryję i

na Boga. Pycha to żądanie, że mi się coś należy od Boga, to może być nawet modlitwa, w której sam wiem co Bóg mi ma dać, kiedy sam wiem co jest dla mnie dobre. Dużo już pisałem i myślałem o tych moich stanach serca i teraz mogę stwierdzić, że to zmaganie się, manewry, walka, walka bez walki, działanie i niedziałanie, poddawanie się, że to właśnie walka o pokorę.

„Moje serce się nie pyszni ,nie biegam za tym co przerasta moje siły”. Więc celem walki nie jest pycha, aby ją zniszczyć, zniwelować, obezwładnić i wyrzucić, bo na tym delikatnym gruncie można wpaść w pułapkę pychy. Walcząc mieczem, można zginąć od miecza. Gdzie się nie ruszę spotykam sidła pychy, na każdym kroku. Proszę przyjdź Duchu Święty, jeżeli Ty chcesz. Ty wiesz co dla mnie dobre, Ty lepiej wiesz, aby w tym bezładzie myśli, w tym chaosie pojawił się promyk światła.

Zacznę jeszcze raz, spróbuję, chcę napisać najbardziej realnie i prawdziwie, bez teorii i upiększeń. Pokora to łaska, wielka łaska, zresztą jak całe moje życie jest łaską, darem Pana Boga. Dar życia, które nigdy się nie kończy i wierzę, że Bóg stworzył mnie z miłości bo chciał i to jest najprawdziwsza prawda. Jednak nie dostrzegałem tej prawdy i nie zawsze nią żyłem i żyję, bo przez różne uwarunkowania, czynniki życiowe, ludzi, którzy mieli i mają wpływ na moje życie odszedłem od tej prawdy. Nie uwierzyłem i nie przyjąłem prawdy o Bogu, o mnie i tej rzeczywistości. Pokorą byłoby dla mnie, przyjąć tę Dobrą Nowinę o Bogu Stwórcy i nią żyć. Podstawowa rzecz, której realnie człowiek, konkretnie ja nie przyjmuje prawdy o miłości Boga i ciągle ucieka z tego raj.

Serce odpowiedziało jeden aspekt pokory, bycie w raju z Bogiem, nagi kompletnie zdany na Boga, nagi nie mający przed Nim żadnych tajemnic. To punkt wyjścia i punkt dojścia. A całe moje życie to próbowanie, czy jest coś poza tym prostym życiem w zależności od Boga, całkowitej bez zastrzeżeń. To pycha, zainfekowane serce nie wierzy w tę podstawową prawdę, że Bóg chce dla mnie dobrze. To pycha jest korzeniem tego odchodzenia w niezależność, to pycha w sercu nie dopuszcza, aby serce się przemieniło, zmiękło, abym w totalnym zaufaniu mógł spocząć na rękach Kochającego Ojca. To pycha, podstawowy grzech, od którego wszystkie inne pochodzą, pokazuje iluzję lepszej rzeczywistości niż zależność od Boga.

Jedna prawda to to, że Bóg mnie kocha. Druga to, że ja odchodzę, nie chcę, nie przyjmuję. Prawda o tym, że odchodzę, że mam zainfekowane grzechem serce i jest to mocniejsze ode mnie. Mam zainfekowane serce grzechem, pychą, dumą, że nie potrzebuję nikogo nawet Boga. Ale mam też w moim sercu ziarno Słowa, ziarna prawdy, żywego Jezusa, który przychodzi do tego śmierdzącego serca. Bez tej prawdy ,bez tego nawozu, bez prawdy o grzechu, o pysze, Słowo Boże wcielone Jezus Chrystus nie może wzrastać, nie może być wywyższony i uwielbiony. To jest ta gleba żyzna, zaorana, przemielona, przetrawiona. To jest ten chwast, który rósł i rośnie a potem gnije i jest nawozem. Gdzie grzech tam i łaska. Pokorą jest dla mnie przyjąć tę następną Dobrą Nowinę. I chcę przypominać sobie tę prawdę że jestem słabszy od grzechu, zwłaszcza od pychy, i nie mogę nic z tym zrobić, tylko i aż to uznać, uznać przed sobą, Bogiem i drugim człowiekiem.

Ileż trzeba się namęczyć, nawalczyć ,naodrzucać myśli, bronić się aby to uznać, aby się poddać. W walce duchowej dla mnie jest to podstawowa prawda ,przyjąć ,że przeciwnik i grzech są mocniejsze ode mnie, tak jak już wiele razy wspominałem przyjęcie że alkohol jest mocniejszy ode mnie. Akceptacja po prostu prawdy to Pokora. „Boże użyż mi pogody

ducha, abym godził się z tym czego nie mogę zmienić”. Mogę się powtarzać i na różne sposoby powracać do tego samego, ale stało się to wszystko autentyczne i prawdziwe. Pisanie i mówienie z serca o pokorze jest bardzo trudne, bo pokora to klucz do łaski, i nie można jej dokładnie nazwać, poruszam jedynie te aspekty, które poruszają moje serce i mnie osobiście pomagają. Tyle jest rodzajów pokory, ile jest rodzajów pychy. A więc pokora to rozeznawanie z dnia na dzień, nawet tych samych poruszeń i sytuacji, bo ta sama sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna może być pokorą albo pychą, albo mieszanką obydwu.

Rozeznawanie zaczyna się właśnie od uznania już tych prawd, o których wspomniałem i napisałem. Uznanie, że jestem stworzony z miłości i że się odwróciłem od Boga i to jest mocniejsze ode mnie, że grzech i pycha, brak pokory są mocniejsze ode mnie. Przegrałem i koniec . Moja przegrana jest nieodwracalna ,nie zmieni się to, nie zacznę wygrywać. Tę prawdę pokazuje mi krzyż. Krzyż po ludzku uznaje tę klęskę Boga-Człowieka. Ale czy moją klęskę? Czy w ogóle klęskę!?. Właśnie krzyż to klęska tego myślenia, tych pragnień, pożądań, grzechu we mnie, pychy i samowystarczalności.

Więc zdjęcie z krzyża Jezusa to bardzo Dobra Nowina i bardzo wielka prawda, bo to wejście w świat pokory, w którym dzięki łasce i ja będę bezpieczny. Warto dać się poprowadzić za Jezusem do końca, po ludzku to przeraża, bo to same straty, ale patrząc oczami Boga to zysk wielkiej łaski. Zawsze autentyczne spotkanie z Bogiem, osobiste spotkanie, to w małej chwili poznanie siebie i poznanie Boga. To swoisty zastrzyk pokory i tego nie da się opisać, to trzeba przeżyć. żeby to przeżyć trzeba być zdeterminowanym i trzeba prosić bo to łaska, może Bóg da. Rozeznawanie zaczyna się właśnie wtedy, gdy uznaję swoją słabość. Oczywiście znam reguły Świętego Ignacego, umiem myśleć, ale tak naprawdę rozeznawanie jest owocne tylko w postawie pokory. Nie mogę pominąć prawdy o mojej słabości i prawdy o tym, że Bóg jest po mojej stronie. To Bóg wygrał tę walkę, ja mogę tylko w tym uczestniczyć. Moje bojowanie bywa ciasne, zamknięte, naznaczone grzechem, bardzo często bywa samoobrona przed wysiłkiem, samoobroną przed przyjęciem prawdy czy samoobroną przed otwarciem się na nowe myślenie, na nowe widzenie rzeczywistości. Toczę walki sam ze sobą, z Bogiem, ze złym duchem i mam wrażenie, że właśnie wkraczam w przestrzeń, gdzie odkrywam największe paradoksy, gdzie przegrana jest wygraną, a wygrana przegrana. Przegrywam ze sobą, przegrywam ze złym duchem, wygrywam z Bogiem!?

Jakub walczył całą noc aniołem i go pokonał, chwycił go i powiedział: „nie puszcze cię, aż mi nie pobłogosławisz”. Jakub słaby człowiek, oszust, nie może pojąć tego, że został wybrany przez Boga, że Bóg chciał, aby Jakub- Izrael stał się jego szczególną własnością. Oszust bardzo grzeszny człowiek zostaje powołany, aby stać się świętym. Trudno to pojąć, ale rozwiązaniem i odkryciem jest jedno słowo Boga, które brzmi „miłosierdzie”. Miłosierdzie zawiera w sobie słowo „łaska”.

Łaska i miłosierdzie to jest rozwiązanie na mój dylemat i dylemat Jakuba. Mogę być grzesznikiem i świętym, faryzeuszem i celnikiem, Kainem i Ablem, a walka, którą toczę to jest głównie walka o łaskę i miłosierdzie. To walka, aby nie wypaść z łaski jak mówił święty Paweł. Niewygoda, upadek, niedogodności, doświadczenie swoich ograniczeń i grzeszności, może być i jest w moim życiu ościeniem, który upokarza i nie pozwala ,abym wypadł z łaski i miłosierdzia, abym nie uznał swojej siły i nie próbował wygrać sam z grzechem. I tutaj stają naprzeciw sobie różne rzeczywistości: Miłosierdzie i grzech, Bogactwo i ubóstwo,

pokora i pycha, alkoholizm i trzeźwość. Przyjęcie i pogodzenie w sobie tych zdawałoby się sprzeczności, czyni mnie zwycięzcą, bo będąc alkoholikiem nie pije, odkrywając że jestem pyszny, staje się pokornym. Coraz bardziej staje się pełnym człowiekiem z całym bagażem życiowym, który coraz bardziej godzi się ze swoją słabością. Jakub został ugodzony w staw biodrowy i odszedł, poszedł w życie kulawy. A więc pokora to godzenie tego w sobie, co zdawało by się nie do pogodzenia. Jestem grzesznikiem, który poniósł klęskę, ale jest dla mnie Dobra Nowina, która staje się dla mnie coraz lepsza i lepsza, bo jest Miłosierdzie Boże, które jest darmowym darem. Miłosierdzie, które coraz bardziej dostrzegam w swoim życiu to nie tylko darowanie grzechów i odkupienie, ale także wszystko co potrzebne dla ciała: pokarm, napój, ubranie, dom, wszystko co Bóg mi dał dla ciała i dla duszy. To pokora pozwala przyjmować dary Boże, które są już dane. Najpokorniejsza Matka Boga w Magnificat uwielbia właśnie Miłosierdzie Boże wiele razy. Pełna pokory dlatego pełna łaski.

Znam już swoje ciemne strony, poznałem na co mnie stać, Bóg daje doświadczyć, daje przekonanie wewnętrzne, że jestem grzesznikiem i stać mnie na popełnianie najcięższych grzechów bez mrugnięcia okiem. Mogę w przeciągu krótkiej chwili iść i zmarnować życie. Nie chcę się rozpisywać jakim jestem największym grzesznikiem, bo to też byłoby pychą. Znam to co znam, wystarczy do tego aby nie ufać sobie. Dla Boga nie ma tego co było, ale jest to co jest. W świetle Słowa Bożego widać grzech. Nie wszystkie Boże słowa są miłe, bo obnażają to co mam w sercu. Im bliższa relacja coraz bardziej to widać. To w relacji wychodzi na wierzch, na powierzchnię grzech i namiętność. I to jest jedna strona mojej rzeczywistości, a druga to, że jestem synem Bożym, dzieckiem Ojca, bratem Jezusa, albo nawet kimś kto nosi Jezusa w sobie. To ogromna godność, że jestem kimś i mam wewnętrzne przekonanie, że Bóg dzieli się ze mną tym co ma najcenniejsze, a najcenniejsza jest miłość. Jezus idąc na krzyż zbawił mnie i zaprasza mnie do tego samego. „Wszystko moje jest twoje”, te słowa wychodzą z jego ust. „Ustanowiłem cię panem posiadłości swoich”. Więc mogę zarządzać jego dobrami. Co za hojność, co za zaufanie, co za łaska, że mogę uczestniczyć w dziele zbawienia. Człowiek, który potrzebuje zbawienia może zbawiać!?. Ale jak żyć na co dzień, przecież jestem zwykłym człowiekiem, co teraz?

Poznałem już skrajności w sobie, jak żyć powoli odkrywam, chcę być prowadzony przez Ducha Świętego i spełniać wolę Bożą, nie mogę ciągle klepać się w pierś i mówić jakim jestem grzesznikiem i nie mogę też ciągle żyć świadomością swojej wielkiej godności bycia kimś szczególnym. I tu jest potrzebna pokora, ustawienie się zaangażowanie się całym sobą, w ten złoty środek życia zwyczajnego. Życia drobnymi potknięciami, drobnymi cierpieniami, życzliwością, uśmiechem, po prostu przyjmowanie szarej rzeczywistości, w której mogę przypomnieć sobie przy okazji drobnych niewierności, o tym na co mnie stać i do czego prowadzi niewierność w małej rzeczy. W tej prozie życia dostrzegam też drobną miłość, wierność, małe próby. Codziennosc też daje dużo niedogodności, ciężkiej pracy, trudu który mogę ofiarować jako swój wkład w dzieło zbawienia. Drobne rzeczy nie karmią pychy, i tego jeszcze nie osiągnąłem, tylko znam kierunek.

Niesienie Krzyża w codzienności to osiem błogosławieństw. Tę stronę zmierzam, ale czy potrafię iść we właściwym kierunku, nie potrafię, bo nie robię tego co chcę, ale to czego nie chcę powiedział święty Paweł. W stronę Krzyża raczej jestem prowadzony, jak Jezus na Golgotę. Najgorsze upadki na tej drodze, to uciekanie od Miłosierdzia i łaski, uciekanie w samowystarczalność. Jestem przybijany do krzyża z Jezusem z miłości, bo znając to

rozdarciu w sobie, odkrywam w tym wszystkim niesamowitą miłość Boga, który walczy o mnie. Odzyskana wolność chcę oddać Bogu, bo wiem że nie potrafię z niej właściwie korzystać i często idę za tym co działa na zmysły, co jest pożądaniem. Śmierć i zdjęcie z krzyża to nadzieja na życie tym co nazwałbym życiem tylko duchowym. To wyzwolenie z ciała, które ciągle domaga się nasycenia, ciągle jest głodne, które jest poranione, załęknięte, zmaltratowane, ale przyjmowanie tego wszystkiego dziś daje możliwość uzdrowienia. Przecież zdrowie nie jest najważniejsze, ważniejsze jest uzdrowienie przede wszystkim duchowe, a ciało i psychika jest na tyle zdrowe, aby normalnie funkcjonować. Bo ciało ciągle jest potrzebne i Bóg o tym doskonale wie i daje właśnie to co jest potrzebne. Bóg liczy się z moją słabością, nie muszę od niej uciekać. Obchodzi się ze mną delikatnie jak z dzieckiem.

Jestem jak dziecko u swej Matki. Jezus z grzesznikami, chorymi, potrzebującymi, po prostu ubogimi obchodzi się delikatnie jest wyrozumiały, cierpliwy i czuły. I to jest doświadczenie pokory, bycia dzieckiem, które ufa Bogu. Natomiast z faryzeuszami, obłudnikami i tymi, którzy uciekają od swoich słabości, uważając, że zasługują na zbawienie, obchodzi się inaczej. Głosi im gwałtowne upomnienie, upomnienie z miłości, aby przyjęli łaskę i miłosierdzie. Doświadczam w życiu tego i tego.

Na myśl, że kiedyś zostanę zdjęty z krzyża swojego życia i wzięty już całkowicie w ramiona Matki, łąza się w oku kręci. Ona najlepiej wie gdzie mnie położyć, gdzie mnie dać, albo komu mnie dać. Wspomniałem już, że oddałem się Jej w niewolę miłości, do Jej dyspozycji, Ona niesie mnie na rękach, wie jak to robić, wie jak kroczyć za Jezusem i jak być z Nim zjednoczonym. Największe kroki dokonują się właśnie wtedy, gdy nie wiem gdzie i czy we właściwym kierunku zmierzam. Największe kroki dokonują się w ciemności umierania, klęski, śmierci, tragedii, gdy wszystko się wali. I po takiej burzy, gdy budzi się świt, gdy pojawia się promyk nadziei i światła, widzę Ją gdzieś w cieniu przyglądającą się pełną dostojności i pokoju Tą, której się oddałem i wiem, że Ona brała w tym udział. Bóg daje mi wolność, wolną rękę, nie żąda niczego ode mnie. Odzyskaną wolność od alkoholu mogłem różnie wykorzystać, On zaryzykował nie naciskał, jednak mam pragnienie być blisko Niego, być z Nim i chcieć tego co On chce. Mam też pragnienie, aby kochać, aby żyć w zjednoczeniu z Nim. Z czasem odkryłem, że to przede wszystkim Jego pragnienie i tak zaczęło się nasze przebywanie razem.

Sprawił, że odzyskuję siebie, swoją tożsamość i dał jeszcze więcej wolności, mogę wybierać. Dalej mam pragnienie, by być Nim, ale odkryłem później, że On ma to pragnienie już dawno więc pomyślałem, że nie chce chcieć niczego innego. W międzyczasie zobaczyłem, że moja odzyskana tożsamość, moja wolność, niekoniecznie chce być z Nim. Stałem na nogi i zobaczyłem, że chcę odejść, że to co cielesne we mnie chce odejść, a to co duchowe chce zostać, że nie chcę a odchodzę. Więc pomyślałem, że jak zachowam swoją wolność to odejdę, a swoją ledwo odzyskaną wolność i tożsamość bez Niego mogę na nowo stracić. Pomyślałem, że oddam mu swoją wolność. To oddanie Wolności dobrze się wyraża w modlitwie Świętego Ignacego:

„Przyjmij i zabierz, całą wolność moją,

Pamięć moją i rozum, wolę ma całą,

cokolwiek mam i posiadam.

Ty mi to wszystko dałeś, Tobie to Panie oddaje, Twoje jest wszystko.

Rozporządzaj tym, w pełni swojej woli.

Daj mi jedynie miłość Twą i łaskę,
albowiem to mi wystarcza”.

Po czasie ON dał mi światło, że już dawno dał mi wszystko łącznie ze swoją wolnością, z sobą, i zdaje się na moją łaskę i niełaskę. I teraz możemy już dzielić swój los z wyboru!!! Ale najpierw On podzielił ze mną mój los z wyboru, miłości. To On idzie moją drogą krzyżową i dzieli ze mną klęskę i śmierć i to wszystko na co zasłużyłem. Z Jego strony to na pewno Miłość, z mojej nie wiem?. Czy to Pokora? Nie wiem.

XIV. GRÓB. Wiara, która rodzi nadzieję.

Są takie momenty w życiu, że wydaje się, że nie ma Boga. Czas w którym nastaje głęboka cisza ,grobowa cisza i Bóg milczy. Po prostu doświadczenie straty.

Życie to pasmo strat przemijania wydarzeń, ludzi, więzi, bliskości. „Wszystko ma swój czas. Jest czas radości i czas smutku, czas sadzenia i czas wrywania, czas rodzenia czas umierania”. Piszac swoją historię i opisując swoje doświadczenie, doszedłem do momentu, kiedy się coś kończy. I tu kończy się Droga Krzyżowa i staje w tym samym miejscu, w którym byłem na początku, przed pierwszym spotkaniem z Jezusem. Staję dziś w szarej codzienności, w domu, z tą samą żoną, ja taki sam jak kiedyś, podobne problemy, to samo zmaganie. Można powiedzieć, że Wielka Sobota. Nie ma Jezusa. Mój Pan i wybawca umarł. TEN, dla którego zostawiłem wszystko umarł. Straciłem wszystko, bo postawiłem wszystko na jedną kartę, najbardziej jak umiałem. Chcę być z Nim. Dokąd iść i co robić w takich momentach, tego uczy Kościół.

Pierwsza rzecz to milczenie. Ja to milczenie odbieram jako naukę otwierania się na nowe inne rozwiązania. Milczenie otwiera mnie też na Boga, wszechmogącego i niepojętego. Milczenie otwiera mnie na Boga, którego nie mogę pojąć, którego miłość nieskończenie przekracza moje możliwości odbierania i poznawania. A z drugiej strony ta strata otwiera moje serce, otwiera moje piekło, otwiera to co jest na jego dnie. W milczeniu zaczynam widzieć coraz bardziej, co mam w sercu, jakie uczucia się budzą. Pierwsza rzecz to widzę że ta więź z Jezusem bywa za bardzo emocjonalna, zaborcza, oparta na uczuciach, na ludzkim rozumieniu. W milczeniu widzę jak bardzo dużo we mnie żalu, nieprzebaczenia i poczucia krzywdy. Tylko taki kryzys może tym wszystkim ruszać, tylko taki kryzys ból straty, ból samotności, totalnego opuszczenia przez Boga, a nawet depresji z tym związanej, może przeorać moje serce do głębi, aby się okazało co tam jest. W milczeniu opuszczeniu przez Boga widzę, że jest we mnie poganin tam na dnie serca, razem z celnikiem. Poganin, który nie zna w ogóle Ewangelii i kompletnie żyje po swojemu, tzn. tak jak mu pokazuje jego instynkt i pożydlwość. A celnik, to ten, który ma interesy, handluje i robi wszystko dla jakiegokolwiek zysku. Tak, to jestem ja bez pudru i upiększeń. Prawdziwy ja. O zapomnielibym!. A to wszystko w ładnym opakowaniu, obłudnego, pobożnego człowieka, którego Ewangelia nazywa faryzeuszem. To co niezewangelizowane pogańskie, a to co zewangelizowane pyszne. W tym piekle można znaleźć też te wszystkie emocje, które pielęgnuje w swoim sercu, złość, pretensje, które wylewam na najbliższą mi osobę w życiu, którą stał się już Jezus. On to bierze na siebie, tak rozumiem swój udział w zabójstwie i męce

Jezusa. Modlitwa, milczenie przed Bogiem, modlitwa Jezusowa to właśnie powoduje w moim sercu, to wielki owoc milczenia przed Bogiem. To wszystko co nazywałem rozproszaniem ma wielkie znaczenie, bo to stan mojego serca. Jak myślę o pracy w czasie modlitwy, to bywa ona ważniejsza po prostu, niż Bóg. Jak o relacjach, bólach, pretensjach, to po prostu je mam. I taka jest prawda. Milczenie w ogóle pomaga we wszelkich relacjach, bo milczenie otwiera na słuchanie i w ogóle otwiera serce na Boga i ludzi.

Wracając do poganina i celnika, to mam pewne przemyślenia i odkrywam pewną prawdę, która dotyka moje serce i daje wielką nadzieję na przyszłość. Chodzi właśnie o Ewangelię o upomnieniu braterskim, której jest mowa o tych dwóch i o mnie. Jest napisane, że jak nikogo nie posłucha to niech będzie jak poganin i celnik. Mój poganin i celnik nikogo nie słucha, żadnego upomnienia i to część mnie, to przecież prawdziwe „ja”. A dalej Ewangelia mówi: „Jeżeli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyje im mój Ojciec, który jest w niebie”. Uznając poganina i celnika w sobie nikogo nie potępię, nie zostawię choć nie posłucha. Moje upomnienie nie jest czynione z góry, z poczucia wyższości, ale jest rzeczywiście braterskie. Ilu braci można pozyskać uznając prawdę o sobie, a ilu stracić czując się lepszym od kogokolwiek. Pogodzenie się ze swoją sytuacją, daje mi upoważnienie do skuteczniejszej modlitwy za innych, za braci, za tych na których już dawno podstawili krzyżyk. Ucieszyłem się bardzo z tego, że czuję się w Kościele razem z tymi, co nie przyjmują upomnienia. Dwaj lub trzej. Ja i celnik. Ja i poganin. Ja, poganin i celnik. Moje trampki, o których mówi papież Franciszek są już na nogach i jestem gotów, aby wyjść całym sobą realnie, modlitwą, sercem, cierpieniem, ofiarą, właśnie do tych zatwardziałych, którzy nie przyjmują upomnienia i Ewangelii.

Jak dotrzeć do serca tych zatwardziałych, a no z mojego doświadczenia pozwolę, aby przeżywali kryzysy, aby ponosili konsekwencje swojego postępowania, a reszta to modlitwa i ofiara. Słowa, wielość słów, Ewangelia zginie w tym morzu informacji i mam wrażenie, że wszystko już zostało powiedziane, a czy Słowo Boże dotrze komuś do serca, to tylko i aż działanie Ducha Świętego od środka, w sercach i umysłach.

Drugim aspektem Wielkiej Soboty, który budzi nadzieje są wspomnienia, przypominanie sobie jak to było od samego początku, od stworzenia świata poprzez wyprowadzenie z Egiptu. Kościół przypomina historię zbawienia i ja to robię, przypominam sobie jak Bóg działa i jest obecny w moim życiu. Pierwsza rzecz to prawda, o której już pisałem, że w realny sposób Bóg jest przy mnie i nie opuszcza mnie ani na krok, że pracuje dla mnie, aby mnie zbawić, pracuje dla mnie, aby mi i moim bliskim niczego nie brakowało. Bóg dba o rzeczy duchowe, abym nie pogrążył się w grzechu, ale także o to co potrzebne do życia doczesnego. I czas doświadczenia grobu, kryzysu, to czas otwierania oczu i uszu, uzdrawiania, i uwrażliwienia się na obecność Bożą. Patrząc na moją historię, na moje życie, odkrywam, że Bóg jest wierny, wierny i prawdomówny, że to ja jestem ślepy i tak niecierpliwy. Przypominając sobie ten czas, te chwile, które wryły się tak głęboko w sercu odzyskuje nadzieję, nadzieję, że zawsze po nocy przychodzi dzień. Pierwsze spotkanie, które najbardziej wryło się w sercu i umyśle, spotkanie poprzedzone wielkim kryzysem, poczuciem bezsensu i beznadziei. Zostałem postawiony w sytuacji, kiedy już nic nie pomagało, aby odzyskać radość życia i sens życia. Realne wstąpienie do piekieł Jezusa, wkroczenie do mojego piekła, które tak skrzętnie ukrywałem. Cierpienie czyniło mnie uległym, cierpienie otwierało mnie na nowe możliwości szukania tam, gdzie w życiu nie

szukałem. Strapienie dało mocno do myślenia, postawiło mnie w sytuacji, że zakwestionowałem dotychczasową wiarę, opartą jedynie na praktykach i udawaniu. Dziś jak przychodzi kryzys, staram się wierzyć, że przyjdzie nowe. I to zaskoczenie, zdumienie, że Bóg jest. Poczucie, że runął mur w moim sercu, który dzielił mnie i Jego. Łzy zdumienia, radości i skruchy. Bóg mnie zna, Bóg zna moje wszystkie grzechy i świństwa, kocha mnie bezwarunkowo, Bóg zna moje najskrytsze marzenia. Wielka ulga, kamień spadł mi z serca. To był ten początek, który zdawał się być końcem. Potem to zachłyśnięcie się Bogiem, rzeczami Bożymi. Pamiętam jak spadły mi łuski z oczu i jak czytałem Pismo Święte to rozumiałem. Zrozumiałem Słowo Boże, pewien próg we mnie został przekroczony. Czytałem, chłonałem jak wygłodniały człowiek, który co dopiero poznał smak chleba.

I znowu kryzys pierwsze oczyszczenie z pragnienia wrażeń i doznań, które się wiązały z tym spotkaniem. A może powiem, że właśnie kryzysy, cierpienia, walki, zmagania uznaje dziś właśnie za istotę tych spotkań, bo w tych momentach przychodzi czas, że na jaw wychodzą zamysły serc i poznanie swoich grzechów i przywiązań. A poznając siebie głębiej, mogę to otwierać na łaskę Bożą. Odkryłem wtedy, że nie jestem taki fajny, jak mi się wydawało, że mimo doświadczenia bliskości Boga i Jego miłości ciągle bardziej wybieram to co światowe.

Zawsze to odkrywanie w sobie grzechu, a muszę dodać, że to wielka łaska, doświadczałem coraz bardziej bliskości Boga, przed którym coraz mniej uciekałem i się Go bałem. Najlepsze są te momenty, w których staję w prawdzie w nowo odkrytym brudzie, a On jako Miłosierny Ojciec po prostu mnie przyjmuje. Mógłbym wiele pisać o tych spotkaniach, które wiążą się z realnym czasem miejscami, wydarzeniami życiowymi, okolicznościami. Powiem jedynie, że wszystkie były dopracowane przez niego w sposób zdumiewający i szczegółowy, tak bardzo pasujący do mojej osobowości, nawet do mojego poczucia humoru.

Będąc na rekolekcjach modliłem się w kaplicy i na sam koniec, kiedy zafascynowałem się osłem Pana Jezusa i uznałem go, jako dobry wzór służby i pokory. Usłyszałem w sercu „żebyś wyszedł do parku. Oczywiście takie rzeczy traktuje z dystansem, ale wtedy na fali może humoru i dziecięcej zabawy nagle zerwałem się i poszedłem, pobiegłem do parku i usłyszałem: „idź!”, to szedłem: „szybciej!”, to szedłem szybciej: „biegnij!!!”, myślę sobie, że pewnie jak ktoś to widzi to pomyśli sobie zwariował, to zacząłem biec, nie do końca pamiętam w szczegółach. Na koniec było: „Zatrzymaj się!, to była próba osła!”.

Wróciłem z radością do kaplicy, jako wypróbowany człowiek do pełnienia pokornie woli Bożej. Żeby przepleść wątek, to bycie z Jezusem nie oznacza ani ciągłego uniesienia, ani cierpienia i trudnych rzeczy, które są ciągłym poznawaniem i walką, ani też ciągłej zabawy i poczucia humoru, jest wszystkiego w obfitości. Powaga i bycie poważnym śmierzdzi pychą i myśleniem, że tak dużo ode mnie zależy.

Będąc sam w domu (ale czy sam?), zrobiłem sobie śniadanie, ugotowałem parówki, przygotowałem chleb, usiadłem, to było celebrowanie skromnego śniadania. Zaprosiłem Jezusa na to proste danie. Proste jedzenie i świadomość Jego obecności. Tak jedliśmy, a ile było zabawy. Parówki okazały się suche, takie, które trzeba popijać, do tego chleb czerstwy, taki, który jak stary, to trudny do zjedzenia.

Moje serce wyłapało te chwile i to są te spotkania proste bycie, którego się nie zapomina. Jedzenie pełne uśmiechu, poczucia humoru, jak przyjaciele. Jednak największą nadzieję dają te chwile, te wspomnienia trudu, różnego rodzaju braków, przez które zostaliśmy przeprowadzeni. Bywało ciężko, bardzo ciężko i nic się nie stało „włos z głowy nam nie spadł”. Mówię o nas, bo mówię o naszym małżeństwie z Jadzią, mojej rodzinie, tej najbliższej, ale mówię też o nas, o Jezusie, Maryi, których mogę nazwać najbliższymi, tymi którzy nigdy nie zawodzą i są najbliższymi już na całą wieczność.

Zawsze po kryzysie przychodzi nowe, nowe przekonania, albo nowe myślenie, ale najczęściej po prostu nowa wiara bez odczuć, wrażeń, czysta bardzo realna wiara. Moja wiara buduje się właśnie na mojej historii życia, w której dostrzegam realne działanie Boga, moja wiara pozostaje wewnętrznym przekonaniem, że Bóg jest prawdomówny. Zaczynam wierzyć Bogu, a nie w Boga, w to co mówi i wiara staje się zawierzeniem. Ten czas jest odkrywaniem Boga, którego nie można ogarnąć zmysłami, bo Jego ciało zostało martwe w grobie, tego już nie ma i nie wróci. Te chwile mogą posłużyć do tego, aby z mojej historii powstała całość, która pasuje, która zgadza się ze Słowem Bożym, całość, która ma dalszy ciąg, o tym dalszym ciągu także mówi Słowo Boże.

Dalszy ciąg mojej historii to zmartwychwstanie, to z dnia na dzień budzenie się do nowego życia właśnie przez przyjmowanie Słowa Bożego sercem wprost bez przypowieści, prosto, realnie, jako mój dialog jako dialog nowego człowieka z Bogiem. Umieram i zmartwychwstaje, to co we mnie zdawało się takie niepotrzebne, jak grzech, który prowadzi do śmierci staje się częścią mnie. Nie mogę tego zakwestionować w sobie i odrzucić, mogę to jedynie zaakceptować. To co umiera budzi się do nowego życia. Z tych przyjętych nieakceptacji, z tego co ciąży co jest Krzyżem, powstaje nowe. Z egoizmu powstaje miłość, więc co by się stało jakbym ten egoizm odrzucał od siebie i nie przyjmował go jako części mnie?. Z chciwości powstaje ubóstwo i to ubóstwo realne staje się wtedy, jak realnie uznaje w sobie chciwość. Z zaakceptowanej próżnej chwały powstaje pragnienie wzgardy i odrzucenia. Z pychy powstaje Pokora. Co za cud przemiany!!! Wreszcie z historii grzesznego człowieka rodzi się historia zbawienia. Z historii grzesznego człowieka rodzi się historia Boga człowieka. Ze starego Adama rodzi się nowy Adam Jezus Chrystus i ze starego Krzyśka rodzi się nowy Krzysiek Jezus Chrystus. Zadam sobie pytanie: czy to aż tak?. I sobie odpowiem: Aż tak! Ciało Jezusa zostało zdjęte z krzyża i złożone w grobie, ale po trzech dniach przerażenie nie ma ciała Jezusa. I te spotkania, tajemnicze spotkania ze zmartwychwstałym, to świtanie i niedowierzanie, zdumienie i lęk, wahanie się wiary.

CZY TO AŻ TAK ?

Odpowiedzi dokonuje w swoim sercu.

XV. ROZDZIAŁ OSTATNI

Koniec książki, urwało się, niedokończona, bo trwa moja historia trwa moja przygoda i walka trwa. Ucieszyłem się, bo mogły się w tym czasie nawiązać nowe relacje, może nawet przyjaźń.

Wracając do walki, to dziś walczę o wiarę, o wiarę Bogu, że obdarzył mnie taką godnością. Obecnie odkryłem w sobie bycie dzieckiem Bożym, ale to dopiero się okaże kim jestem. Mam pewne przeczucie i intuicję. Walka o wiarę, aby wytrwać to codzienne zmaganie. Potrzebuję się modlić, słuchać Słowa Bożego, a przede wszystkim realnie spotykać Pana w Eucharystii, tym zdawałoby się martwym chlebie. Aby wygrać z chwastem trzeba dbać o pszenicę, o wzrost tego co dobre. Nie wyrywać chwastu, bo nic nie zostanie. Walka o wiarę, o relację z Jezusem, o Jezusa w sobie, o miłość osobową toczy się co dnia.

Modlitwa, Słowo Boże, Eucharystia, Rozeznanie, wszystko to w zażyłości z Jezusem, a bez pokory nie ma nic.

XVI. ROZDZIAŁ OSTATECZNY.

A kiedyś, kiedy nastąpi ten dzień, dzień mojej realnej śmierci, też śmierci fizycznej. Kiedy spełnią się słowa Dobrej Nowiny, że „nie zostanie ze mnie kamień na kamieniu” ,że „wszystko zostanie zburzone”. Już nie mogę się doczekać jak po wielkim ucisku, zjawiskach na niebie, i lęku, że ludzie mdleć będą. Przyjdzie po mnie Jezus w szacie we krwi skąpanej, utrudzony jak po wygranej bitwie, uradowany i zmęczony jak we żniwa z mieczem błyszczącym i ostrym. Wykona ostatecznie cięcie, które wyzwoli mnie z ciała.

AMEN.